Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 16 (1804) • 18–24 kwietnia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

BARANKI WIELKANOCNE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 16

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl f544429224

WOJNA DOMOWA

Odbyły się debaty prezydenckie. Dwie w Końskich i dwie w Telewizji Republika, w sumie trzy. To jest kolejna edycja dowcipu z serii „ile to jest dwa razy dwa" (żydowski księgowy: „A ile ma być?"; amerykański adwokat: „Proszę się na mnie nie powoływać, ale gdzieś między trzy a pięć"). Nowa wersja – polski polityk: „A ile sugerują sondaże?". Sondaże sugerują, że na debaty lepiej przychodzić. Rafał Trzaskowski – który był tylko na własnej – stracił 4,8 proc., podczas gdy Karol Nawrocki, który przyszedł na wszystkie trzy, zyskał 5,4. W sondażach robionych po Końskich zyskali również Hołownia i Biejat, a stracił Mentzen, który się nie pofatygował. Z kandydatów nieoczywistych do świadomości memowej i tiktokowej przebili się Joanna Senyszyn i Krzysztof Stanowski, z tym że Stanowski prosi, żeby na niego nie głosować. Tak tylko mówimy…

Szymon Hołownia okazał się zresztą niespodziewanym bohaterem debaty w Końskich, albowiem zapowiedział, że tam pojedzie, co sprowokowało ośmioro innych kandydatów – i w ten sposób elegancki plan Rafał Trzaskowskiego, że będzie debatował z dziennikarzami telewizji rządowej i dwóch prywatnych, ale życzliwych, spalił na panewce. Żeby nie pochwalić Hołowni za bardzo, odnotujemy także jego dziwaczny briefing prasowy zatytułowany „Co powiedziała mi Polska". Otóż Polska powiedziała marszałkowi sejmu, że „te wybory nie są o tym, żeby ludzie dali siłę politykom, tylko żeby politycy dali siłę ludziom. Ten wektor jest dzisiaj absolutnie najważniejszy i zrobię wszystko, żeby ludziom tę siłę dać"… Czy to tylko nasz przeczulony feminizm – czy brzmi to cokolwiek protekcjonalnie? Przyjdzie dobry pan marszałek i poda nam pomocną dłoń, bo sami sobie nie poradzimy, biedactwa?

Poza debatami odbywają się wiece. Za dużo, żeby odnotować wszystkie, więc w tym tygodniu skupimy się na Mentzenie, którego wiec w kujawsko-pomorskim zdołał być obraźliwy i dla polskiej klasy ludowej, i dla obywateli kilku krajów z dwóch kontynentów. Najpierw support w postaci posła Berkowicza opowiedział o polskich cukierniach, które wykupili Niemcy, co zakończył subtelnym dowcipem: „Teraz mamy z polskiego buraka niemiecki cukier, czyli taki jak premier Tusk: niby z polskiego buraka, ale premier niemiecki". Klapu klapu klapu – zareagowali nieco anemicznie słuchacze. „Widzę, że się rozumiemy" – ucieszył się Berkowicz. „Burak" jest pogardliwym określenie człowieka ze wsi; widać tam Konfederacja nie szuka wyborców. Sam kandydat ekscytował niezbyt licznie zgromadzonych opowieścią o tym, że „Polacy zasługują na więcej, od lat zasługują na lepsze państwo, niż jest w Indonezji, Mongolii, Burkina Faso, Kenii czy Nigerii. Zasługujemy na więcej!". A tak właściwie to dlaczego Polacy mają zasługiwać na więcej niż obywatele wymienionych azjatyckich i afrykańskich krajów?

Donald Tusk poszedł na Europejskie Forum Nowych Idei i poinformował wszystkich, że naiwna globalizacja się skończyła i od teraz będzie gospodarczym dyktatorem, a także gospodarczym nacjonalistą. I żaden Hiszpan, Niemiec czy Amerykanin nie dostanie w Polsce żadnego rządowego kontraktu, bo rządowe polskie kontrakty będą tylko dla polskich przedsiębiorców, rząd podjął decyzję i jest to decyzja nieodwołalna. I nawet jak będziemy odbudowywać Ukrainę, to solidarnie, ale tak, żeby na tym zarobiły polskie firmy. Ogłosił też – co sprawiło nam niejaką radość – że od teraz spółki skarbu państwa nie będą dążyć do maksymalizacji zysku, tylko do zaspokajania potrzeb polskich przedsiębiorców i polskich rodzin. Odnotowujemy wszakże, że chodzi chyba wyłącznie o rodziny przedsiębiorców – słowo „pracownicy" nie padło w tym monologu ani razu.

Magdalena Biejat z kolei poszła do Andrzeja Dudy, żeby namawiać go do zawetowania ustawy o obniżeniu składki zdrowotnej dla tak ukochanych przez Tuska polskich przedsiębiorców. Ponieważ prezydent „z większością z jej argumentów, chyba z wszystkimi, się zgodził" i „powiedział, że w jego opinii ta ustawa w tym kształcie jest nie do zaakceptowania" – kandydatka NL dorzuciła drugą ustawę, tym razem taką, którą zalecała podpisać: nowelizację kodeksu karnego, zakazującą hejtowania za względu na wiek, płeć, niepełnosprawność i orientację seksualną. Dotychczas nie wolno było tylko ze względu na przynależność narodową, etniczną, rasową i wyznaniową – bądź jej brak. Mamy w tej sprawie tzw. uczucia ambiwalentne. Z jednej strony jesteśmy oczywiście za niehejtowaniem; z drugiej wszakże, martwimy się, że w swojej prezydenckiej dojrzałości Andrzej Duda może podpisać ustawę o obniżeniu składki na złość Magdalenie Biejat, bo się rozgniewał, że kazała mu bronić pedałów. Na dwoje babka wróżyła.

NIK przestawiła wyniki raportu, który potwierdza poprzednie wyniki raportu mówiące tyle, że rząd Morawieckiego sprzedał Saudyjczykom dużą część Lotosu za połowę ceny – tak jakoś pięć dużych baniek za tanio. Ponadto oddał Aramco do dyspozycji jedną piątą polskich produktów rafineryjnych i jeszcze mu dorzucił prawo weta, które może doprowadzić do sparaliżowania działalności Orlenu. Izbie postawił się były prezes, a obecnie europoseł Daniel Wszystkomogę Obajtek, który udowodnił, że – wbrew diagnozie prezesa Kaczyńskiego – nie może wszystkiego. Nie może na przykład zbudować zdania, które miałoby zrozumiały dla słuchaczy sens (nie wspominając już o składni). Próbka z konferencji, spisana dosłownie: „Była kwestia parytetu wymiany akcji, jak słyszałem kiedyś przez NIK, że akcjonariusze stracili, no to po prostu byłem zaszokowany ich wiedzą. No jak mogli akcjonariusze stracić, jak to była wymiana akcji, tak naprawdę więc, jeżeli nawet by się stał – co nie jest to do przyjęcia – jakaś niższa wycena jednej firmy, to ten akcjonariusz ma akcje drugiej firmy, tu nie ma możliwości straty dla kogoś przy tak zwanym paryte... przy wymianie akcji, czyli przy procesie połączenia przez przejęcie". A NIK błądzi, bo kontrolerzy „nie umią tego policzyć".

AWŁ

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Kwiecień 2013 r.

Świętego Teodula

Przeczytałem, że najazd na Irak kosztował Stany Zjednoczone do tej pory 9 bln dolarów, to znaczy 9 milionów milionów. Zważywszy na efekty, powiedzieć można, że tyle kosztowało zabicie Saddama Husajna. Raczej opłacałoby się, żeby żył. Warto byłoby zrobić ranking najdroższych zgonów. Sądzę, że na czele byłaby śmierć Chrystusa. Rachunek za ukrzyżowanie płaci się już przez 1980 lat. Drugi byłby Hitler. Trzeci Husajn. Ben Laden też znalazłby się chyba w pierwszej dziesiątce. W Polsce największe koszty spowodowała gwałtowna śmierć Lecha Kaczyńskiego, który wysadził się trotylem w samolocie, aby naród mógł zapamiętać, że był taki prezydent.

Świętego Tristana

Ponieważ nie chciałem jeść krupniku, pani Daniszewska kazała mi za karę obejrzeć trzy zaległe polskie filmy z Dorocińskim. „Obława" to obraz wybitny. „Pokłosie" Pasikowskiego – przejmujące i pożyteczne. Niestety, ekspozycja jest zbędna, nudzi, a ukrzyżowanie Stuhra juniora stanowi przesolenie. Wolę jednak ukrzyżowanie przez Polaków młodego Stuhra, niż gdy stary Stuhr krzyżuje Polaków swoimi filmami.

Wychodziłem z filmów Smarzowskiego „Wesele" i „Dom zły". „Wyborcza" dała jego najnowszemu – „Róży" – pięć gwiazdek. Film jest splotem poprawnych politycznie tez. Dla ich zilustrowania na ekranie bez przerwy gwałcą, zabijają, biją i męczą rakiem. Gwałcą, a widz się nudzi, zabijają, a widz ziewa. Wielka sztuka połączyć nudną brutalność i ckliwość. Gdyby w amerykańskim filmie Dorociński rozminowywał pole, skręcalibyśmy się z emocji. Już-już ma wybuchnąć, no nie wybuchło… W „Róży" tyle samo napięcia przy kopaniu min, co kartofli. Kartofli są dwa worki. Zafundował je Instytut Sztuki Filmowej.

Świętej Platonidy

Prasa donosi o zamiarze odtworzenia Partii Kobiet. Prezydenta Bochniarzowa zamówiła fryzjera i farbę, ponieważ pragnie stanąć na czele frakcji brunetek.

Wspólnotę wyborczą organizują mężczyźni, nosiciele buta nr 41.

Scena polityczna się odmraża jak zwłoki w trumnie.

Świętej Niestanki

Gdy moskiewska gazeta coś pokręciła z rozmiarami smoleńskiego monumentu, jakiego chce Warszawa, znaczna część polskiej prasy podniosła krzyk, że Moskwa judzi, bo chce z nas zrobić swoje lenno. Gdy w jakimś niemieckim filmie akowcy są antysemitami, nad Wisłą jest to narodową tragedią.

Polska chce być znaczącym państwem. Struga europejską damę. Niech więc nie włazi bez majtek do salonu, żeby posikiwać na dywan.

Świętej Cezaryny

Tadeusz Słobodzianek wystawił swoje barwne wieloobsadowe widowisko z muzyką i tańcami pt. „Młody Stalin". Rozglądałem się po widowni liczącej kilkaset osób. Ustaliłem, że jestem jedynym stalinowcem. Niesamowite. Kiedyś zajmowaliśmy wszystkie krzesła na sztukach o Stalinie z podobnie wyrafinowanymi dialogami.

Świętego Heliodora

Zatrzymała mnie w łóżku choroba lordów angielskich – podagra. Cierpienia były ogromne, bo moje. Pani Daniszewska wezwała lekarza. W ciągu 15 minut nadjechała karetka ze stosownym doktorem medycyny, jego asystentem i pielęgniarzem. Siedzieli przy mnie godzinę. Dali zastrzyk, kroplówkę i receptę. Nie powiedzieli, żeby nie palić. Rano przyjechała pielęgniarka wziąć mi w łóżku krew i mocz. Następnie przybył rehabilitant zająć się bolącą nogą. Psychicznie wzmocniła mnie złość na myśl, ile zarobiłaby „Wyborcza" na nekrologu danym przez Daniszewską – znając jej rozrzutność – na str. 2 „Gazety". W ciągu kilkunastu godzin stanąłem więc na nogi.

Jak się domyślą stare baby pojękujące w przychodniach służby zdrowia, nie zajmowała się mną ona, lecz sieć prywatnego lecznictwa. Najdroższy abonament ze złotą kartą i tytułem VIP-a kosztuje mniej niż przeciętny dziennikarz „NIE" płaci na ZUS. Z pozoru jest to argument dla ultraliberałów myślących, że najlepiej, aby ludzie nie dawali się oskubywać przez NFZ, tylko leczyli się, płacąc lekarzom, a nie składki. Tyle że mój prywatny abonament nie obejmuje np. operacji serca, chemioterapii na raka, amputacji nogi i innych ulubionych potrzeb ludzi niezamożnych. Przy tym prywatne lecznictwo unicestwia emocje niezbędne emerytom, a rozwinięte, gdy siedzą w poczekalniach i zbiorowo narzekają.

Nadal świętego Heliodora

Przeczytałem dobrą książkę o bardzo ciekawym koledze. Wywiad rzekę Krzysztofa Pilawskiego z Januszem Rolickim „Wańka-wstańka". Rolickiego spowiada niestety bliski mu politycznie dziennikarz. Nie ma więc sporów, niewygodnych pytań, wywlekania czegokolwiek ku uciesze czytelników. Pasjonująca lektura, ale głównie dla pana Janusza.

Na 320 stron raz tylko z Rolickim się nie zgadzam: gdy mówi o ataku Gwardii Ludowej na Café Club: że wrzucić granaty i uciec to normalna forma walki partyzanckiej. Zabijanie ludzi w kawiarni zawsze zebranych przypadkowo nazywa się współcześnie terroryzmem. No ale cóż, Rolicki to bliski krewniak krwiożerczej Agnieszki Wołk-Łaniewskiej.

Świętej Idy

Dzwoniono do mnie aż z Ameryki, bo tam panika wśród Polaków nowojorskich, że podobno Kwaśniewski pokazał się w telewizji pijany. Spokojnie! W Polsce pijani wzbudzają sympatię, są równorzędnikiem swojskości. Pijany Tusk byłby dla Platformy na wagę złota.

Były prezydent to wielki łeb, ale ma słabą głowę. Uchwycono go, jak lekko faluje, chodząc, i ma na twarzy stupor. Jako stary koneser Kwaśniewskiego oceniam to na pół butelki wina do obiadu. Kwaśniewski świetnie umie zapanować nad całym krajem, panowanie nad sobą jest więc mniej ważne, bo cóż to jest jeden nie do opanowania na kilkanaście milionów powolnych Kwaśniewskiemu.

Churchill i Stalin mieli mocne łby, a podzielili Europę na dwa ustroje, Kwaśniewski musiał ją więc scalać. Pozwólcie pić Kwaśniewskiemu! Taki jak on król życia mało już ma z życia poza tym.

Świętego Maksyma

Z okazji 70. rocznicy powstania w getcie warszawskim prasa podzieliła się po smoleńsku. Niektóre gazety lub czasopisma twierdzą, że Żydów wymordowali Niemcy i Żydzi, inne, że Niemcy i Polacy. Jako zwolennik pojednania przyjmuję postawę pojednawczą: Żydów wymordowali Niemcy, Polacy i Żydzi.

Gdybym w 1943 r. wiedział, że w Warszawie wybuchnie takie piękne powstanie, to na pewno wstąpiłbym do warszawskiego getta. Niestety, unikałem żydowskich skupisk, siedząc na wsi na Podolu. Pomimo to gdzieś zaliczono mnie do dzieci Holocaustu, jak wszystkich Żydów, którzy okupację przeżyli w kraju. To jakaś bzdura, bo byłem dzieckiem, którego właśnie Holocaust nie objął. Oczywiście bardzo tego żałuję.

Pomimo że jestem Polakiem i Żydem, osobiście Żydów nie zabijałem. IPN może mi nachuchać. I jeszcze raz, i jeszcze raz...

Świętego Paterna

Ukazała się książka, tzw. wywiad rzeka, Marty Stremeckiej ze mną. Tytuł „Jerzy Urban". Z postacią tą obcuję całe życie, więc już mnie nie ciekawi. Bydlę jak bydlę. Temat książki (czyli ja) od dawna mnie znudził. Pomimo to przeczytałem z zadowoleniem, bo dzięki Stremeckiej ze złego tematu wyszła dobra książka. Tak to jest z dzisiejszymi produktami: zbędne, ale fajnie zmajstrowane.

Mój Jaguar zawsze miał cztery koła i jechał, a teraz czytam, że dodano im napęd.

❑

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Wina Tuska i Bidena

Wyobraźmy sobie, że za jakiś czas Rosja napada na Polskę, żeby – jak twierdzi – usunąć nazistowskie rządy w naszym kraju. Prezydent Trump nas poucza, że nie trzeba było zaczynać wojny z dwudziestokrotnie silniejszym państwem i że winny jest dyktator Tusk i Joe Biden, którzy doprowadzili do tej sytuacji. Ale on załatwi sprawę, już rozmawiał z Putinem i ten powiedział mu, że pragnie pokoju.

PIRS

Nie ruszać Trzaskowskiego

Przestańcie wreszcie się czepiać prezydenta Trzaskowskiego! Ja rozumiem, że nie jest to Wasz wymarzony kandydat, ale pora odpowiedzieć sobie na pytanie, czy wolicie Nawrockiego, o którym słusznie piszecie, że zrobił karierę na oszczerstwach wobec Polski Ludowej. Czy chcecie przyłożyć rękę do tego, żeby został prezydentem Polski? (…)

To nie jest czas na dzielenie włosa na czworo! Jest tylko jeden kandydat, który może uchronić nas przed Dudą bis w pałacu prezydenckim, i jest to Rafał Trzaskowski! Nie wierzcie sondażom – te wybory wcale nie są jeszcze rozstrzygnięte. (…) Zresztą przewaga Trzaskowskiego topnieje, a wyborcy Mentzena na pewno na niego nie zagłosują w drugiej turze. Dlatego apeluję: moratorium na atakowanie prezydenta Warszawy do 1 czerwca 2025!

STEFAN, WARSZAWA

Polak, Węgier dwa bratanki

Nawrocki na debacie musiał pokazać (…) że wyfrunął spod kaczych skrzydełek. Bo jest, jak cały ten PiS, homofobem i transfobem. (…) Patrzę, co wyprawia na Węgrzech Orbán. W tym kraju, który przecież miał już dawno temu związki partnerskie, dziś zabrania wychodzić tęczowym Węgrom na ulice. Co będzie dalej? Zabroni im istnieć? Zarządzi ich utylizację? (…) To samo czeka i nas, jeżeli do władzy dojdzie Nawrocki. I jeżeli w kolejnych wyborach powróci PiS i połączy się z Konfederacją. Je jestem już stara i niczego nie oczekuję. Ale moja dorosła córka jest transpłciową kobietą i o nią, o jej los się boję.

TERESA Z WARSZAWY

eprasa.pl f544429224

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pamiętacie hasło „Urban Jerzy król młodzieży”? 11 kwietnia się zdezaktualizowało. Królowa jest tylko jedna.

Profesor aura!

Od czasu maratonu debat Senyszyn – mówiąc językiem sieci – trenduje, a trend nie zamierza się zatrzymać. „Do mojego słownika wprowadzam hasło: wejść jak Senyszyn na debatę” – napisał jeden z internautów,

a było to preludium. Setki memów, komentarzy i słów poparcia. Czy kampanie w social mediach mają znaczenie?

Ostatni będą pierwszymi

Casting w Końskich na nowego lokatora pałacu prezydenckiego przeszedł do historii. Trzygodzinny maraton debat zrealizowanych kolejno przez Telewizję Republika i Telewizję Trwam oraz TVP Info, TVN i Polsat zdawał się nie mieć końca, a najwytrwalsi spodziewali się uwieńczenia spektaklu jeśli nie zgonem, to przynajmniej omdleniem z wycieńczenia chociaż jednego z kandydatów. Niestety nic z tego. Na szczęście za sprawą jednej postaci sprawy przyjęły całkiem przyjemny obrót.

Debata Telewizji Republika i rydzykowej stacji Trwam odbyła się na rynku w Końskich. O czasie stawili się na nią Karol Nawrocki, Krzysztof Stanowski, Szymon Hołownia i Marek Jakubiak. Koło 19:15 na scenie pojawiła się spóźniona Joanna Senyszyn, której pozwolono włączyć się w debatę i przydzielono trzecie miejsce w każdym pytaniu. Nie szkodzi. Pani profesor – jak mawia młodzież – zaorała kontrkandydatów. I to właśnie młodzież wskazała, kto będzie dzierżyć palmę pierwszeństwa tam, gdzie nie dotarł żaden z polityków mainstreamu – czyli w sieci. Kto uwiedzie młodych, ten ma social media, kto ma socjale, ten ma władzę.

Mogłoby się wydawać, że wyborcy ze stosunkowo świeżym numerem PESEL piątkowy wieczór wolą spędzić w objęciach kochanków lub upojenia alkoholowego niż na nudnych jak apel smoleński przepychankach polityków. Nic bardziej mylnego. Blisko 20 tys. postów z hasłem „Senyszyn” na portalu X w ciągu zaledwie 12 godzin od debaty mówi samo za siebie.

Reels

Już z przeprowadzonego w 2015 r. przez Odyseja Public Relations, Mobile Institute i Brand 24 badania „Wybory z perspektywy młodych” wynikało, że wyborcy w wieku 18–29 lat czerpią informacje głównie z platform społecznościowych, a aktywność partii politycznych w social mediach zwiększa ich zaangażowanie wyborcze. Za kluczową uznano autentyczność przekazu.

Mimo upływu dekady politycy zdają się tego nie zauważać, bo kontent serwowany przez ich sztaby wyborcze na X, Instagramie czy TikToku to nie tyle marketingowe drewno, ile cały tartak. Trzaskowski i Nawrocki oferują serię przebitek sztucznych uśmiechów i wykrochmalonych koszul z przekazem, który wszyscy mają do tego stopnia w pompie, że nawet sobie z niego nie żartują. Mimo gigantycznych pieniędzy i sztabu PR-owców jedno spojrzenie w internet pozwala stwierdzić, że w tych dwóch przypadkach angaż social media managera uznano za zbędny.

W ostatnim czasie lekcje z internetowych trendów odrobiła Magdalena Biejat, która po sympatycznym dla dziadyg, ale krindżowym (żenującym) dla młodych teście zapiekanek, wrzuciła na Instagram filmik z metamorfozy swojej marynarki, której wykonania podjął się znany projektant mody i propagator upcyklingu Jackob Buczyński. Designer przy okazji zachęcił wyborców do czytania programów kandydatów na urząd prezydenta i zadeklarował oddanie głosu na kandydatkę Lewicy.

Na fali internetowego kontentu płynie od początku kampanijnego wyścigu Sławomir Mentzen. Wygląda i zachowuje się jak nastolatek odciągnięty od komputera, żeby przywitać się, bo przyszli goście, i do takiej grupy odbiorców kieruje swój przekaz. Nic dziwnego, według raportu Fundacji Batorego „Obraz kampanii prezydenckiej w mediach społecznościowych” (2025 r.) najskuteczniejsi kandydaci to ci, którzy efektywnie wykorzystują mikrotargetowanie i budują emocjonalne więzi z wyborcami. „Dziewczyny, dlaczego musimy głosować na Mentzena? Mentzen nie każe ci pracować do 67 roku życia, żeby utrzymać ludzi, którzy »nie odnaleźli się w systemie«. Serio, chcesz harować całe życie, żeby potem Twoja emerytura była niższa niż zasiłek dla aktywistki, która całe życie walczyła o darmowe tampony dla pingwinów na Antarktydzie?” – pisze jedna z użytkowniczek TikToka, która ma 70 tys. obserwujących. Występ Trzaskowskiego z małżonką na parkowej ławce opowiadających o stosunku obojga do żużla może się schować.

Like

Przypadek internetowego fejmu Senyszyn jest o tyle interesujący, że profesor rozbiła też bank popularności wśród młodych internautów, których zainteresowania są dalekie od polityki. Nie uwiodła ich przepychanka z tęczową flagą ani nudna do womitów polaryzacja przodujących w sondażach kandydatów. Zyskała Joanna Senyszyn, która trollingiem trollingu i celnymi ripostami perfekcyjnie wykorzystała swoje pięć minut.

Dla przykładu, post użytkownika platformy X o nicku Człowiek Sowa z nagraniem fragmentu debaty w trakcie pytań wzajemnych do kandydatów i opisem „– Ojej, to ja teraz? Oj, przepraszam, już. No dobrze, hmm… A tak w ogóle, Nawrocki, cwelu watykański, to co zrobisz z pedofilią w Kościele?” zdobył 11 tys. polubień. Nazwisko kandydatki prędko wygenerowało hashtag „Aura 100” i „Goat”, które w slangu części społeczeństwa z własnymi zębami i zdrowymi stawami oznaczają podziw, szacunek i najlepsze w historii wydanie. Z wyrazem podziwu podawano informację o zasięgach kont socialowych Joanny Senyszyn – blisko 10 tys. obserwujących na Instagramie i 53 tys. w serwisie Facebook. Wypowiedzi profesor z debat stały się viralami, podobnie jak podsumowanie obydwu wydarzeń w Końskich udostępnione przez polityk na Facebooku. „Wczoraj skradła mi serce, dzisiaj mi po prostu zaimponowała. Macie się od kogo uczyć, »sojusznicy« Szymon Hołownia, Magda Biejat” – napisała internautka „Ani ta, ani tamta” na portalu X, wrzucając screen wpisu Joanny Senyszyn z Facebooka. Post dostał 3,5 tys. polubień.

Internetowe algorytmy są doskonałym odzwierciedleniem nastrojów społecznych. Te po debatach z 11 kwietnia pokazały, że zasięg zyskały treści emocjonalne, ale pozytywne i rzeczowe. Propaganda i schematy były wyciszane przez zgłoszenia, ironię i brak kliknięć. Fenomen nowej fali popularności profesor Senyszyn dowodzi, że polski wyborca wbrew pozorom potrafi samodzielnie myśleć i w dupie ma duopol polaryzacji. Apelujemy zatem do polityków – uczcie się!

IDALIA DUBICKA

Głosy za flagę

Nawrocki dzieli społeczność LGBT

Od tygodnia czytam w elgiebetowskiej części internetu najgorsze rzeczy o Rafale Trzaskowskim oraz peany na cześć Magdaleny Biejat.

Trzaskowski nie może być prezydentem wszystkich Polaków, gdyż schował tęczową flagę, którą podczas telewizyjnej debaty w Końskich postawił mu na ambonie Dres W Garniturze – takoż wyrokuje elgiebetowski komentariat. I nuże narzekać na złego Trzaskowskiego, co się elgiebetów wstydzi! I dawaj wychwalać Magdalenę Biejat, która zabrała tę tęczową flagę od Trzaskowskiego, mówiąc, że ona się jej nie wstydzi! Na platformianego kandydata sypią się różne wyrazy wraz z zapowiedziami vendetty w postaci nieoddania na niego głosu. Pomstują nań liczący się aktywiści, a nawet Krzysztof Śmiszek, ekswiceminister sprawiedliwości, co to miał pilnować elegiebetowskich spraw w resorcie, ale spulił do Brukseli. Sporo też słychać takich, którzy w obliczu zaistniałej sytuacji deklarują teraz swój głos na Biejat.

Prawdę mówiąc, jest mi przykro. Nie tylko dlatego, że tęczowy komentariat w tym przypadku pieje jednym chórem z prawactwem, które ma uciechy po pachy z tego, jak to Nawrocki zażył Trzaskowskiego. I nie tylko dlatego, że Trzaskowski jest w tym momencie Bogu ducha winny. Jest mi przykro dlatego, że jako osoba jak najbardziej utożsamiająca się ze społecznością LGBT, widzę, że całe to tęczowe towarzystwo zupełnie nie łapie, o co tu chodzi.

Wśród wychwalania lewicowej kandydatki i gnojenia Bonżura mało jakoś mówi się o samym sprawcy tego zamieszania, niejakim Karolu Nawrockim. Mało kto zawraca sobie głowę takim spostrzeżeniem, że to nie Trzaskowski zrobił tu coś wbrew społeczności LGBT, lecz właśnie Doktór Nawrocki. Mało kto zauważył, że to właśnie Obywatelski Kandydat Obywatela JK, stawiając na własnej ambonie flagę polską, a na ambonie Trzaskowskiego flagę tęczową (z koniecznym przy tym złośliwym komentarzem wygłoszonym ze sztuczną, źle wyuczoną ironią), wykluczył tęczową społeczność z populacji państwa, w którym ona żyje, przeciwstawił ją ogółowi Polaków. Czyli zrobił dokładnie to, co jego polityczni sponsorzy robią od lat dziesięciu, a nawet dłużej.

Trzaskowski może mógł zachować się inaczej, może mógł chwilę się zastanowić, ale zrobił to, co zrobił. W moim odbiorze jego zachowanie jest kompletnie bez znaczenia, podobnie jak gest Biejat.

Znaczenie ma wyłącznie to, że katoprawactwo w osobie Nawrockiego znów próbuje dzielić Polaków za pomocą LGBT. I nad wyraz mu się to udaje.

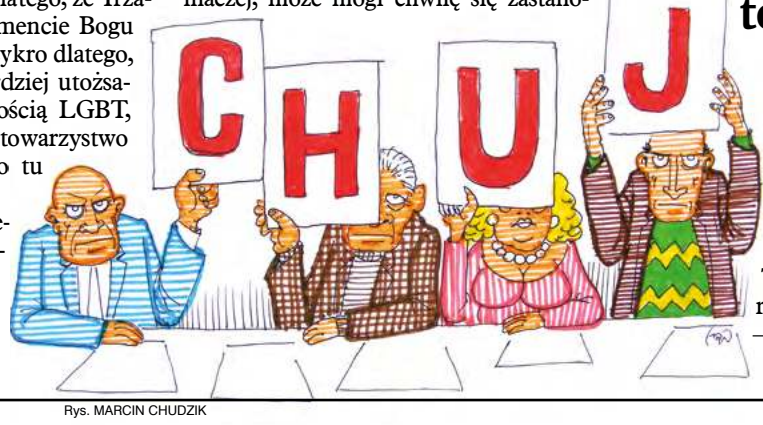

Rys. MARCIN CHUDZIK

Jeżeli przez tę zagrywkę było w stanie zachwiać nawet postawami w ramach elgiebetowskiego kometariatu, to jest już naprawdę źle. Zapewne teraz, czytając tę jazdę po Trzaskowskim jak po burej suce, ma – nie bez racji – mnóstwo uciechy, że tak niewielkim nakładem sił i środków osiąga swój cel.

Rafał Trzaskowski jest naturalnym kandydatem dla bardzo dużej części społeczności LGBT. Dąsanie się na niego i odmawianie mu poparcia z powodu jakiegoś programu telewizyjnego jest wbrew zdrowemu rozsądkowi. Z całym szacunkiem dla Magdaleny Biejat, która jednakowoż tych wyborów nie wygra, bo ma poparcie w granicach błędu statystycznego. Nie zagłosują na nią wszyscy tęczowi wyborcy (a tylko wtedy miałaby jakie takie szanse na drugą turę). Nieoddanie części ich głosów na Trzaskowskiego w drugiej turze może mieć zaś skutek fatalny. Taki mianowicie, że nawet gdyby Tusk z kolegami przepchnęli później przez sejm tysiące ustaw dających środowiskom LGBT nadzwyczajne prawa i przywileje, to żadna z nich nie zostanie podpisana, bo długopis będzie trzymał kolejny katoprawacki fundamentalista. Co jest dla Was, drodzy towarzysze w tęczy, ważniejsze? Jakieś show w telewizorze czy wasza przyszłość na lata? Bo na razie wszystko zmierza ku temu, że kolejnej kadencji uśmiechniętej Polski nie będzie...

EDYTA BAKER

eprasa.pl f544429224

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Są dwie.

Pierwsza – Emilia Wierzbicki – to rzeczniczka pisowsko-obywatelskiego kandydata na prezydenta Polski Karola Nawrockiego. Wypłynęła na szerszy przestwór oceanu w Końskich, gdzie na uwagę posłanki PO Agnieszki Pomaskiej, żeby wraz z ekipą z TV Republika „zaczęła się zachowywać", odrzekła: „Ja się mam zachowywać? Proszę pani, jestem magistrem dziennikarstwa i rzeczniczką Karola Nawrockiego i nie życzę sobie".

Brawo! Gratulacje za wykształcenie (magister), koneksje (Nawrocki) i ostre jak brzytwa savoir-vivre (nieżyczenie sobie).

Druga nazywa się Głownia, ma na imię Diana i jest rzeczniczką prasową pisowskiego prezydenta Polski Andrzeja Dudy. W programie „7. Dzień Tygodnia" w Radiu Zet Głownia powiedziała, że jest z Kieleckiego – jak Końskie – a ponadto uważa, iż w piątkowej debacie prezydenckiej najlepiej wypadł Karol Nawrocki.

Głowni należą się gratulacje za zapobiegliwość i dbanie o własną karierę zawodową, ale raczej nie ma szans na posadę u Nawrockiego, gdyby został prezydentem wskutek jakiegoś nieszczęścia, np. śmierci dziesięciu milionów dorosłych Polaków w epidemii dżumy. Wierzbicki na pewno przeżyje, będzie wiedziała, jak ma się zachowywać, nie wpuści zatem Głowni do pałacu.

Debata duszą demokracji

Zwłaszcza gdy osłabia faworyta

A właśnie, że uważam, że debaty były w pytę. Wszystkie. Niesmak, który niektórzy wyrażają w związku z robieniem cyrku z polityki, trąci hipokryzją: polityka jest cyrkiem co najmniej od wynalezienia całodobowych telewizji informacyjnych, które żyją z reklam – czyli z oglądalności. A ostatni maraton debat miał tę zaletę, że mieliśmy szansę oglądać kandydatów w niekomfortowych dla nich i stresujących warunkach – co nawet, jeśli nie obnaża ich prawdziwych poglądów, to przynajmniej pokazuje, z czego są zrobieni. Większość okazuje się z karton-gipsu – albo są sztywni, albo się sypią; inni po prostu nie przychodzą.

Nie będę budować tutaj listy zwycięzców i przegranych, bo i tak wszyscy wiedzą, że jestem nieobiektywna, jako że kibicuję Joannie Senyszyn. Nie tylko dlatego, że należy do moich bliskich przyjaciół oraz towarzyszy pisarskiego trudu z „NIE" – ale także (a może przede wszystkim) dlatego, że jest jedyną kandydatką w tym wyścigu, która ma odwagę przeciwstawić się militarnemu szaleństwu, żądać ograniczenia wydatków na zbrojenia i przekazania 90 dużych baniek na cele naprawdę ważne. A także mówi głośno to, co wszyscy politycy myślą po cichu: że Rosja nie napadnie Polski i cała ta zabawa w wojnę służy do manipulowania wyborcami, bo zastraszonym społeczeństwem łatwiej się rządzi.

Dobra, dość już o Senyszyn. Przyjrzyjmy się Trzaskowskiemu.

Ponura śmieszność tej sytuacji polega na tym, iż lider sondaży – który nakręcił całą aferę z debatami – jest jedynym kandydatem, który wyraźnie na niej przegrał. Pierwsze sondaże pokazały, że po Końskich stracił 4,5 pkt proc. – podczas gdy główny konkurent zyskał 5,4. I nie jest to jakaś anomalia – Trzaskowski po prostu wszystko robił nie tak.

Po pierwsze – i to jest coś, czego nikt z mainstreamowego komentariatu mu nie powiedział, z dość oczywistych przyczyn – decyzja o wezwaniu Nawrockiego na debatę prowadzoną przez dwójkę dziennikarzy mediów prorządowych i jednego względnie obiektywnego (taka jest moja opinia o Polsat News) – nie było aktem „odwagi", który mógłby odczarować „tchórzostwo", jakie wykazał, nie przybywając do Końskich pięć lat temu. Biorę słowa „odwaga" i „tchórzostwo" w cudzysłów, bo uważam, że są nadużywane, jakby polski dyskurs polityczny był solówą z podstawówki – ale przecież Trzaskowski zrobił w tym roku to samo co Duda pięć lat temu, kiedy debata w Końskich miała się odbywać na warunkach kurwizji. Trzeba było dopuścić prowadzących z Republiki i wPolsce24. Po prostu. Polacy mają instynktowne wyczucie tego, co jest fair i co fair nie jest. Bijatyka w drzwiach hali i niewpuszczenie dziennikarzy Republiki także nie było szczęśliwym pomysłem; a składanie na nich doniesienia do prokuratury jest już po postu żałosne.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Absolutnie nie fair było także wybranie sobie najwygodniejszego oponenta i pominięcie wszystkich innych. Oczywiste jest, że pogłębianie polaryzacji i spychanie mniejszych partii na margines są w interesie PO i PiS – w tej chwili PO bardziej, bo ma przystawki do pożarcia. Do tego „Katarynka" Mentzen nie mówił tak do końca nieprawdy: rzeczywiście są sondaże, które wskazują, że to on ma większą szansę na wygranie z Trzaskowskim w drugiej turze (Opinia24 dla Radia ZET: Trzaskowski – Mentzen 50 do 43; Trzaskowski – Nawrocki 52 do 42). Najgorsze było jednak kolonialne chamstwo, jakie sztab Trzaskowskiego wykazał tym wyborem; ściemniane w sprawie udziału telewizji rządowej w organizacji debaty też nie pomogło.

Co więcej, dość szybko dla wyborców stało się czytelne, że Trzaskowski zaplanował debatowanie z samym sobą. Wyglądało na to, że upór w niedopuszczeniu mediów pisowskich sprawi, że Nawrocki nie przyjdzie, tylko urządzi własną debatę na rynku, inni nie byli zaproszeni, w sumie – będzie to *one man show*. Wywrócenie stolika przez Szymona Hołownię, który ogłosił, że do Końskich jedzie, i pociągnął za sobą szóstkę innych, sprawiło, że prawdziwa debata się odbyła – a na nią kandydat PO był wyraźnie nieprzygotowany. I wypadł słabo.

Ja go nawet osobiście rozumiem.

Mamy z Trzaskowskim tę samą słabość – zapewne wynikającą z wychowania w wyjątkowo komfortowych i bezpiecznych warunkach, jakim był warszawski inteligencki dom w latach 70. Kiedy ktoś mnie atakuje i czuję się niepewnie, też reaguję uśmiechem, bo nikt mnie nie nauczył wdawać się w bójki.

Kłopot polega na tym, że coraz więcej ludzi, zwłaszcza młodszych od nas (jesteśmy z Trzaskowskim z tego samego rocznika), trafnie dekoduje ten uśmiech jako przejaw lęku. I Trzaskowski wyszedł na cieniasa – co dodatkowo zostało podkreślone faktem, że nie poszedł na dwie pozostałe debaty.

Słabość swojego kandydata zdekodował także Donald Tusk – który, jak z dumą mówił, wychowywał się na podwórku. Stad zapewne jego twardzielskie wystąpienie na Europejskim Forum Nowych Idei we wtorek.

„Musimy wyraźnie powiedzieć, że Polska w tym coraz bardziej bezwzględnym konkursie egoistów na rynku światowym, na frontach wojen, nie będzie naiwnym partnerem" – tokował premier. „Koniec ery tej naiwnej globalizacji musi oznaczać także – i biorę to na siebie – że nadszedł czas na odbudowę narodowej gospodarki, czas na repolonizację polskiej gospodarki. Kapitał ma narodowość, gospodarka ma narodowość, menedżer spółki zarządzanej czy współzarządzanej przez państwo ma narodowość. Nasze interesy mają biało-czerwone barwy. Czy ktoś nazwie to nacjonalizmem gospodarczym? Proszę bardzo, ja nie mam z tym problemu".

Potem było jeszcze dużo o dbaniu „w sposób bezwzględny i egoistyczny" o polskie interesy, a także o „nieprzyjemnych decyzjach personalnych" – o których Tusk mówił z wyraźną przyjemnością. Podobnie jak o tym, że „podniesie się szum" wśród jego współpracowników i menedżerów państwowych firm, ale on nie ma nic przeciwko temu, żeby „nazywali to dyktaturą gospodarczą".

W powodzi twardych słów mnie osobiście zachwyciło jedno zdanie – całkowicie socjalistyczne: o tym, że „pierwszym zadaniem państwowego menedżera, nawet jeśli stoi na czele giełdowej spółki" jest zapewnienie „państwu polskiemu bezpieczeństwa energetycznego", zaś „polskim rodzinom możliwie taniej energii", a nie „maksymalizacja zysku" – bo gdyby było inaczej, to „po co właściwie państwo w takiej spółce?". Brawo ten pan.

I fakt, że notowania spółek energetycznych po tym wystąpieniu poleciały na ryj, uważam za dobry znak; może skłoni to rząd do wykupu tych akcji i przywrócenia państwu pełnej kontroli nad spółkami strategicznymi.

Środowisko polityczne, które reprezentuje Donald Tusk, było forpocztą prywatyzacji traktowanej ideologicznie, ale także aferalnej, narażającej państwo na olbrzymie straty, a społeczeństwo wystawiające na bezwzględną chciwość prywatnego kapitału. Z radością witam zmianę tej postawy – o ile nie będzie to przygrywka do ponownej masowej wyprzedaży państwowego majątku, kiedy tylko Trzaskowski wygra wybory prezydenckie.

Na co widoki w ostatnich dniach jakby zmalały.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Sojusz nienawistników

SŁOWO CZERWONE

Czy boisz się aż tak, żeby zagłosować na prawaków?

Kiedy w debacie telewizyjnej w Republice Sławomir Mentzen zaatakował Nawrockiego, ten – zamiast stawić opór – zaczął się do niego łasić. PiS tak bardzo chce koalicji z Konfederacją, że nie śmie mu podskoczyć. Mało tego, zaczyna coraz bardziej skręcać w kierunku ultraliberalnym – choć przecież rządził dwie kadencje dzięki temu, że uruchomił pierwszy od początku transformacji ustrojowej transfer socjalny. Po raz pierwszy pieniądze, zamiast jak zwykle płynąć z dołu na górę, popłynęły w dół. Dlatego miał rację Adrian Zandberg, kiedy w tej samej debacie stwierdził, że tego PiS-u, który wdrożył program 500 plus, już nie ma. Bo PiS zaczął tańczyć, jak mu Mentzen zagra.

Ceną za koalicję i powrót do władzy będzie wdrożenie reform, które odbiorą Prawu i Sprawiedliwości poparcie klasy ludowej. W sprawie obniżenia składki zdrowotnej Konfederacja się wstrzymała, a PiS – który wcześniej tę składkę podwyższył – był przeciw.

Dlaczego Konfederacja – która przecież reprezentuje wyłącznie ludzi sukcesu, biznesmenów – wstrzymała się od głosu? Bo nie chciała głosować za niczym, co proponuje rząd. Tu jednak zaznaczyła się różnica między ewentualnymi przyszłymi sojusznikami.

Jeszcze większy rozdźwięk może się ujawnić w stosunku do Ukrainy. Wprawdzie obie partie są przeciw wysłaniu na Ukrainę polskiego kontyngentu sił pokojowych – ale przecież takie stanowisko zajmują wszystkie liczące się w Polsce partie. Natomiast otwarty hejt wobec uchodźców z Ukrainy i w ogóle Ukrainy może wykopać przepaść między PiS a Konfederacją. Bo oznacza działanie na korzyść Rosji. A to przecież w obawie przed Putinem wydajemy bajońskie sumy na obronność. O niejednoznacznym stosunku partii Mentzena do Rosji świadczy sojusz części jego eurodeputowanych z Alternatywą dla Niemiec, którą wspiera zarówno Elon Musk, przyboczny Trumpa, jak i sam Kreml.

Zarówno Putin, jak i Trump postawili sobie za cel zniszczenie Unii Europejskiej, co współgra z wyraźnym dążeniem Konfederacji do Polexitu. Skrajnie prawicowe, szowinistyczne partie stały się V kolumną Putina i Trumpa w Europie. Mają one wsparcie finansowe Rosji i propagandowe Waszyngtonu.

Konfederacja przyjęła taktykę unikania trudnych pytań. Symbolem tej taktyki jest hulajnoga Mentzena. Bo przecież gdyby dziś ogłosili, że zamierzają sprywatyzować służbę zdrowia, zlikwidować wszelki socjal (który nazywają rozdawnictwem), opuścić Unię Europejską – ich poparcie mogłoby spaść poniżej progu.

Zresztą Mentzen w debacie ogłosił, że wcale nie jest libertarianinem. Chodziło mu oczywiście o to, by się odciąć od jakże kontrowersyjnych i szalonych poglądów głoszonych przez ojca założyciela jego formacji Janusza Korwin-Mikkego. Żeby jednak dociec, co Mentzen myśli, kiedy tak ucieka przed pytaniami na hulajnodze, dobrze jest prześledzić jego wypowiedzi medialne w dłuższym okresie.

Faszyści głosili chwałę herrenvolku, tj. narodu panów. Konfederaci mówią o dawaniu władzy i palmy pierwszeństwa zwycięzcom w rynkowym wyścigu szczurów, co łączą z pogardą dla tych, którym się nie powiodło – i obciążają tych przegranych całą winą za ich biedę i krzywdę.

Pogarda wobec przegranych, niezamożnych, słabszych – to nowy rodzaj faszyzmu. Przy czym nowymi Żydami są tu biedni, którzy mogą chcieć zasiłków. Bezczelnie żądać, by zwycięzcy podzielili się tym, co tak energicznie zabrali innym sprzed nosa.

Podczas gdy wmawianie młodym ludziom, że mogą wejść do tej rasy panów, jeśli tylko będą dokładać starań, może być jeszcze możliwe – o tyle starsze pokolenie, które coś już wie o życiu, nie łyka tych bajek. A prawda jest taka, że im kto starszy, tym chętniej chodzi na wybory, a starszych jest więcej, bo mamy niż demograficzny.

Przy czym wśród młodzieży popularne są dwie radykalne postawy: ultraprawicowa i radykalnie lewicowa.

Platformą, która łączy Konfederację i PiS, Mentzena i Nawrockiego, jest szowinizm. To taka dewiacja – niemająca nic wspólnego z patriotyzmem – gdzie miarą bycia prawdziwym Polakiem jest niechęć, a nawet nienawiść do innych nacji, do innych ras, do innych kultur. Na bazie tej nienawiści ludzie ci się jednoczą. Podstawą walki o głosy w wyborach nie są rozwiązania ważnych problemów społecznych – takich jak dostęp do leczenia, tanie mieszkania czy niskie płace – lecz strach przed obcymi, strach przed Unią, strach przed Niemcami, a nawet strach przed Ukraińcami, których jedna z posłanek Konfy wyzywała publicznie od banderowców i głośno krzyczała, że oni nas wyrżną.

Prawica działa jak mafia: najpierw ludzi straszy, żeby następnie zaoferować „ochronę". Wystarczy na ludzi szczujących na wszystkich dokoła zagłosować, a będziemy bezpieczni.

Pytanie tylko, czy ten numer będzie działał wiecznie; czy ludzie w dniu wyborów zapomną o swoich problemach i kłopotach dnia codziennego i będą się kierować wyłącznie wszczepianym im strachem i nienawiścią?

Konserwatywna premier Wielkiej Brytanii Theresa May rozpisała wcześniejsze wybory, licząc, że pośród kryzysu migracyjnego ludzie ze strachu zagłosują na rządzących. Tymczasem Brytyjczycy skupili się na tym, co ich aktualnie bolało, i panią premier pozbawili fotela.

Jak na razie więcej cudzoziemców z Polski wyjeżdża, niż do nas przyjeżdża. Na tym cierpi rynek pracy, bo ludzi brakuje. A te kilka tysięcy, których w ramach push-backu wcisnęli nam Niemcy, nie stanowi żadnego zagrożenia, bo to odpowiednik jednej wsi.

Nieporównanie więcej ludzi z tych samych krajów mieszka u nas i pracuje, przyczyniając się do naszego dobrobytu. Syryjscy lekarze, pakistańscy dostawcy posiłków czy kebabiarze z Bliskiego Wschodu i Turcji nikomu nie wadzą. Może więc jednak zwycięży rozum. I wtedy sojusz nienawistników (PiS i Konfederacji) nie będzie już aktualny.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl f544429224

Biskupa poznaje się po tym, jak kończy

Jędraszewski z paczkomatu

Kolejny odcinek serialu o odchodzeniu abepe Marka Jędraszewskiego na emeryturę. Metropolita krakowski skończył w lipcu ubiegłego roku 75 lat i w związku z tym musiał złożyć rezygnację z urzędu. Kościelne stołki tym się jednak różnią od politycznych, że koniec kadencji zależy od papieża, a nie od kalendarza. Od niemal roku zniecierpliwieni obserwatorzy Kościoła kat. wyczekują wieści z Watykanu o następcy Jędraszewskiego, a one nie nadchodzą.

Emerytura Jędraszewskiego jest w pewnych kręgach wyczekiwana tak jak koniec kadencji Dudy w innych. W internecie wisiał specjalny zegar odliczający czas do 24 lipca 2024 r. (75. urodziny arcybiskupa), a krakowscy księża napisali na tę okazję „Psalmus emeritus" z refrenem „wracaj do Poznania". Znienawidzony przez wielu hierarcha jak na złość trwa na urzędzie, mimo że jego postawa i nauczanie dalekie są od tego, co prezentuje papież Franciszek. Ale to właśnie on go do Krakowa wysłał i on go nie odwołuje, mimo że w ostatnim czasie dokonywał już innych zmian personalnych w polskim Kościele.

Z utęsknieniem na zmianę w Krakowie czekają w redakcji „Tygodnika Powszechnego", który pozostaje w konflikcie z Jędraszewskim. On zabrał im legendarną siedzibę, oni zaś obsmarowali go w niejednym tekście, wyciągając brudy i kreśląc sylwetkę dyktatora, który nie nadaje się do rządzenia tą prastarą diecezją, gdzie drzewiej władały takie tuzy jak Wojtyła czy Macharski. Jędraszewski, poznaniak, nie mieści się w wyobrażeniach redakcji „Tygodnika" o metropolicie idealnym, a nawet przyzwoitym. Zarówno jego pochodzenie geograficzne, jak i ideologiczne nie przypadło liberalnym Krakusom do gustu.

W Watykanie może i nie przepadają za Jędraszewskim, ale jeszcze bardziej nie lubią, gdy ogon kręci psem. Medialna wrzawa wokół urodzin arcybiskupa i wymuszanie jego dymisji miały skutek odwrotny – papież nie kwapi się z posłaniem go na zieloną trawkę.

Co chwila padają kolejne nazwiska potencjalnych następców kontrowersyjnego hierarchy – co prawdopodobnie wyklucza ich z gry o tron. Inteligenci z „Tygodnika Powszechnego" postanowili wziąć Watykan sposobem. Wyłapywanie i maglowanie kolejnych cytatów o tęczowej zarazie czy neomarksistach okazało się nieskuteczne, należało więc sięgnąć po inne środki. Bardziej subtelne.

W tekście „Nietykalny", okładkowym materiale krakowskiego tygodnika z 16 kwietnia, autor wylicza możliwe powody, dla których niemożliwe jest odspawanie Jędraszewskiego od tronu w katedrze wawelskiej. Oto bowiem nasz „kaznodzieja nienawiści" ma ponoć mocne plecy w Rzymie i nuncjaturze (papieskiej ambasadzie w Polsce). Nuncjuszem w Polsce od niemal dwóch lat jest Antonio Guido Filipazzi, którego – według doniesień „TP" – Jędraszewski miał sobie okręcić wokół palca, zapraszając do urokliwych zakątków Małopolski. Sprawa była tym prostsza, że bliskim współpracownikiem nuncjusza jest osobisty chrześniak Jędraszewskiego – ksiądz z archidiecezji poznańskiej. Redakcja „Tygodnika Powszechnego" liczy zapewne, że sugerując nepotyzm i przemożne koneksje metropolity, doprowadzi do szybszego wysadzenia go z krakowskiego siodła. Postawiony w niezręcznej sytuacji nuncjusz przyspieszy emeryturę intruza – dumają w katolickiej redakcji. Nie kijem go, to pałką.

W tle są jak zwykle wielkie pieniądze. Autor tekstu o Jędraszewskim przypomina, że największe krakowskie parafie są właścicielami rentownych nieruchomości i biznesów przynoszących milionowe zyski. Niedoszły wciąż emeryt obsadza te placówki swoimi ludźmi, przez co popadł w konflikt z wieloma księżmi, np. ks. Ireneuszem Rasiem, bratem posła Trzeciej Drogi. „Tygodnik Powszechny", choć inteligencki i strzegący etosu, nie gardzi wielkimi graczami biznesowymi. Niedawno na swojej okładce umieścił Rafała Brzoskę, właściciela InPostu, który opowiadał na łamach pisma o swojej wizji deregulacji. W ramach tej owocnej współpracy i dialogu tygodnik można zamówić do paczkomatu zamiast szukać punktów z prasą. Ciężko przyznać, ale przychodzą w życiu takie momenty, że człowiek mimowolnie odczuwa odrobinę sympatii do Jędraszewskiego.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Egzorcysta fetyszysta

Stópkarz w sutannie puszczony w skarpetkach

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rację miał Jarosław Kaczyński, mówiąc, że sądy brytyjskie trzeba radykalnie zreformować. Prezesowi PiS chodziło o sprawę aresztowanego w Wielkiej Brytanii Michała Kuczmierowskiego, ale w tamtejszych sądach nadal szatani są czynni. Wymiar sprawiedliwości Jego Królewskiej Mości uwziął się tym razem na polskiego kapłana.

Aresztant

Ks. Piotr Glas to jedna z największych gwiazd katointernetu. Jego kazania, konferencje i wywiady mają setki tysięcy wyświetleń na YouTubie, a miejsca, które nawiedzał, pękały w szwach. W najbliższym czasie raczej nikogo nie nawiedzi, bo siedzi w areszcie, oczekując na ogłoszenie wyroku. Wzięty kaznodzieja i samozwańczy (a są inni?) egzorcysta został uznany winnym nadużyć seksualnych wobec dziecka. Obwieścił to w oficjalnym komunikacie biskup diecezji Portsmouth, w której nasz rodak w ostatnich latach pracował. „Ks. Piotr (Peter) Glas, ksiądz katolickiej diecezji Portsmouth, został skazany za trzy przypadki rażącej nieprzyzwoitości wobec dziecka po procesie w Royal Court of Jersey" – pisze biskup i standardowo „zobowiązuje się do zapewnienia bezpieczeństwa i ochrony wszystkim osobom w parafiach i wspólnotach kościelnych". Ile lat księżulo popierdzi w pasiak, dowiemy się w czerwcu. Do tego czasu posiedzi ze swoimi demonami w areszcie.

Rys. TOMASZ WIATER

Po trwającym siedem dni procesie część zarzutów wobec księdza oddalono, ale potwierdzono najpoważniejsze. Wątpliwości co do winy księdza nie miała ława przysięgłych. W trakcie procesu ks. Glas przyznał się, że „problem ze stopami" ma od czasów młodości. Przestępstwa dokonywane przez niego w latach 2004–2007 miały polegać na tym, że duchowny podczas masturbacji przykładał sobie do twarzy stopy nastoletniego chłopca. Glas stopniowo urabiał ofiarę, wykorzystując swoją pozycję i autorytet księdza katolickiego, co dla rodziny chłopca było nobilitujące. Na początku kazał ofierze chodzić po plecach, niby to dla złagodzenia bólu, by posuwać się coraz dalej.

Duchowny ściągał także z internetu zdjęcia stóp, co przestępstwem nie jest, ale również podprowadził skarpety z szatni dla małolatów, co już jest co najmniej niepokojące. W Polsce funkcjonuje – założone przez innego księdza – Bractwo Małych Stópek.

Miejmy nadzieję, że jego działalność opiera się na innych niż wyznawane przez ks. Glasa założeniach.

Murem za guru

Mimo że ksiądz sam częściowo przyznał się do „problemów", a jego zwierzchnik za niego przeprasza, to nadal ma swoich obrońców, i to niemało. Jego internetowi wielbiciele stoją murem za swoim guru, uznając wszystko za szatański atak na świątobliwego kapłana. Piotr Glas wygłosił setki godzinek pogadanek na temat szatana, opowiadał o swoich fizycznych potyczkach z tymże, więc dla jego słuchaczy oczywiste jest, że siły nieczyste chcą się pozbyć swojego antagonisty. Uciekają się do najpodlejszych metod, rzucając fałszywe oskarżenia, wyręczając się słabymi duchowo ludźmi. Sekciarska mentalność nie pozwala na wiarę w skazy na wizerunku bóstwa, nawet gdy on sam o nich mówi. Winni – zdaniem internetowych adwokatów Glasa – są też masoni oraz muzułmanie. Wynika to ze struktury narodowościowej Wielkiej Brytanii. „Najpierw trzeba zrobić sąd nad zdziczeniem wymiaru sprawiedliwości w Anglii. Ten kraj ma burmistrzów i premierów islamskich" – demaskuje jeden z nich.

Można odnieść wrażenie, że Piotr Glas od lat przygotowywał swoich słuchaczy na ewentualność zatrzymania i skazania. W swoich wystąpieniach często podkreślał, że szczególnie narażeni na ataki złego ducha są kapłani, a Kościół i jego personel są niszczone przez diabła poprzez rozsiewanie plotek na temat kleru. Wiele uwagi poświęcał sferze seksualnej, dopatrując się w niej źródła upadku człowieka. Obsesyjne wałkowanie tematu seksu u normalnych ludzi wzbudziłoby podejrzenia, ale ks. Piotr trafił na podatny katolicki grunt, gdzie takich tyrad słucha się z wypiekami na twarzy. Sam Glas celował w niezbyt rozgarnięty elektorat, gardząc wykształciuchami opętanymi „demonem intelektualizmu". Tego biesa wygnał z pewnego księdza, którego nieposkromiony pęd do wiedzy popchnął w objęcia szatana.

„Pycha intelektualna była w nim tak silna, że uważał, że musi wszystko poznać, zbadać, wszystkiego doświadczyć, ale także zdobywać kolejne stopnie naukowe" – opowiadał Glas o koledze po fachu w jednym z wywiadów. „Diabeł był u niego bardzo głęboko zakonspirowany. Pewnego dnia, gdy księdzu wydawało się, że jest sam w pokoju, zaczął rozmawiać sam ze sobą, a dokładniej – wyglądało to tak, jakby ktoś do niego mówił"… Ks. Glasowi udało się uwolnić od opętania kolegę, ale szewc bez butów chodzi. Swoją drogą, gromadzenie książek wydaje się mniej podejrzane niż kolekcjonowanie używanych dziecięcych skarpetek, ale musiałby się w tej sprawie wypowiedzieć jakiś teolog.

Cyrograf

Antycypując swoje losy, ks. Piotr Glas mówił w wywiadzie dla portalu Królowa.pl: „No niestety, największym zagrożeniem jest po prostu podwójne życie. Największym zagrożeniem dla duchownych są sprawy seksualne i sprawy świętokradztwa. To jest furtka dla szatana. Dzisiaj szatan wchodzi poprzez poranienia seksualne, przez seks i poprzez świętokradztwo. Załóżmy, że jest kapłan, który odprawia Mszę, bo ma taki obowiązek, a jest w stanie grzechu ciężkiego, bez spowiedzi. To już nie jest tylko otwarcie furtki dla szatana, ale całej bramy. To jest największe niebezpieczeństwo: świętokradztwo i sprawy seksualne, homoseksualizm"… No i wykrakał, a teraz będzie prowadził całkowicie pojedyncze życie w celi.

To już kolejny polski egzorcysta, który ma problemy z prawem. I kolejny, na którym nie poznał się Tomasz Terlikowski w czasach brylowania na prawicowych i kościelnych salonach. W radiu księdza „Salcesona" miał swoją audycję, z Glasem pisał książki. Być może w czasie tych kontaktów opętał go demon mainstreamu i po podpisaniu cyrografu stał się jedną z większych gwiazd dużych mediów. Jednych szatan wsadza za kraty, innych do studia radiowego.

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *My teraz doświadczamy, że Polska jest potrzebna Europie. Tak mówił Jan Paweł II –* ***Polska jest potrzebna Europie, aby odzyskała ona wiarę i prawdziwą kulturę płynącą z wiary katolickiej. I to jest najważniejsze przesłanie Jana Pawła II, i tego uczy nas Muzeum „Pamięć i Tożsamość", które przekazuje i które nam zostawia jako zobowiązanie.***

prof. K. Czuba, „Nasz Dziennik", 8 kwietnia

■ ***Ideowe dzieci Urbana*** *chcą Polaków uczyć wolności słowa.*

ks. Janusz Chyła, X, 9 kwietnia

■ *Wielu dzisiejszym wyznawcom Jezusa Chrystusa brakuje odwagi i aktywności w głoszeniu Ewangelii.* ***Często boją się cierpienia, jakie mogłoby spaść na nich, gdy będą świadczyć, że są wyznawcami Chrystusa.***

ks. Franciszek Głód, X, 12 kwietnia

■ ***Wszelkie zrównanie jakiegokolwiek innego związku z małżeństwem oznacza zrównanie w godności, zrównanie w prawach, ale nie musi oznaczać zrównania w obowiązkach, a więc rodzi po prostu dyskryminację (…).*** *Skoro polska konstytucja się temu sprzeciwia, to w ramach prób dominowania prawa międzynarodowego, różnych ustaw europejskich nad suwerennym prawodawstwem polskim i polską konstytucją* ***próbuje się właśnie narzucić nam nie w postaci zmiany konstytucji, ale rejestrowania takich związków, a zatem nadania im w gruncie rzeczy uprawnień, których nie mają i nie mają prawa mieć. To jest dyktatura roszczeń, która łamie porządek prawny i dyskryminuje czy usiłuje dyskryminować małżeństwo kobiety i mężczyzny.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 4 kwietnia

■ *Zupełnie inaczej niż zdrowe zasady cywilizacji łacińskiej na kondycję wspólnot wpływa klimat postmodernizmu i relatywizmu, który na dobre zagnieździł się we współczesnej psychologii i filozofii.* ***Wraz z nim popularyzacja demokratyzmu, w którym prawem ma być wola większości, stwarza zagrożenie dla społecznego panowania Chrystusa, przejawiającego się m.in. w zgodności prawa państwowego z pochodzącym od Boga prawem naturalnym.***

dr Piotr Zemelski, III Ogólnopolskie Forum Tomistyczne w Opolu, 5 kwietnia

■ ***Rząd niemiecki w Polsce wraz z zależnymi od niego sędziami – tworzą osoby o nadzwyczaj patologicznej krótkowzroczności. Nigdy w historii świata nie było grupy politycznej, która trwałaby wiecznie (włącznie z hitlerowskim nazizmem i marksistowsko-leninowskim socjalizmem). Skąd zatem przekonanie u osób reprezentujących reżim Tuska, że ich władza nigdy się nie skończy i że nie zostaną (…) rozliczeni?*** *Brak politycznej inteligencji i samozachowawczego instynktu? Nie wiem. Walka z niezależnymi mediami i odbieranie im koncesji stanowi wyłącznie potwierdzenie tego, jak słaby jest reżim Tuska i Bodnara. (…) Desperacja i cenzurowanie to cecha ludzi słabych i lękliwych.*

o. Jacek Dąbrowski, X, 9 kwietnia

■ *Małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety.* ***Nie zmieni tego żadna ideologia lub urzędnik europejski.***

ks. Janusz Chyła, X, 3 kwietnia

■ *Nie będzie odnowy życia religijnego w Europie poprzez dostosowywanie się do wymagań tego świata.* ***Kościół nie może iść z duchem świata, bo trwając w Chrystusie, zawsze będzie znakiem sprzeciwu wobec świata. I tylko wtedy będzie się rozwijał.***

dr Anna Meetschen, Idziemy.pl, 9 kwietnia

KLECHA

eprasa.pl f544429224

Posłuszni nieposłuszni

Zacna instytucja zwana obywatelskim nieposłuszeństwem nieco straciła na powadze

„Najpierw cię ignorują. Potem śmieją się z ciebie. Później z tobą walczą. Później wygrywasz” – powiedział ponoć Gandhi. Nie wpadł na to, że gdy już masz władzę i pieniądze, najpierw ich ignorujesz, potem się z nich śmiejesz, później przegrywasz i wszystko zaczyna się od nowa.

Kabotyn demokratyczny

„Jeżeli będzie tak, że na wniosek TVP parlament przyjmie podniesienie haraczu na tę telewizję, wezwiemy do obywatelskiego nieposłuszeństwa, do niepłacenia tej opłaty” – zagrzmiał Grzegorz Schetyna podczas Rady Krajowej Platformy Obywatelskiej w roku 2017. „Chcę powiedzieć bardzo wyraźnie: po wyborach ci wszyscy, którzy będą karani za niepłacenie abonamentu, będą mogli liczyć na rekompensatę. Obiecuję to” – ciągnął dokładnie dzień po tym, jak media obiegł kontrolowany przeciek z PiS, że prezes Kaczyński zamroził ustawę skutecznie zmuszającą do płacenia abonamentu.

„Będziemy protestować i nie będziemy płacić” – po kolejnych 24 godzinach zgłosił akces do nieposłuszeństwa wobec wycofanego przepisu ówczesny poseł, a dzisiejszy wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski z PSL.

Dzięki tym słowom zarówno Schetyna, jak i Zgorzelski weszli do historii. Do tej pory bowiem uważa, że nieposłuszeństwo obywatelskie to „świadome i publiczne działanie w sposób niezgodny z obowiązującym stanem prawnym w państwie, w celu zademonstrowania przekonania jednostki o niesprawiedliwym – według niej – funkcjonowaniu przepisów prawnych”. Dzięki wymienionym panom świat dowiedział się, że nieposłuszeństwo obywatelskie to także celowe nieprzestrzeganie prawa, którego nie ma.

Był to kolejny polski milowy krok w rozwoju nieposłuszeństwa obywatelskiego. Pierwszym było – zdaniem politologów – noszenie w czasie stanu wojennego czarnych ubrań, wstążeczek i oporników. Działania te zostały opisane jako forma obywatelskiego nieposłuszeństwa, mimo że ówczesne prawo nikomu nie zabraniało ubierać się na czarno i nosić oznak żałoby po rezystorach.

Inna definicja nieposłuszeństwa obywatelskiego mówi, że polega ono na „publicznym, demonstracyjnym, poprzedzonym publiczną zapowiedzią złamaniu przepisu prawa dla wyrażenia obywatelskiego sprzeciwu wobec tego przepisu”.

Czym jednak kierowali się sygnatariusze „Apelu KOD o nieposłuszeństwo obywatelskie” z początku grudnia 2016 r.? Bo napisali coś takiego: „wzywamy wszystkich – obywatelki i obywateli, nauczycieli, rodziców, pracowników służby zdrowia, górników, rolników, przedsiębiorców, twórców i dziennikarzy, sędziów, prokuratorów, policjantów i wojskowych, a także organizacje pozarządowe, partie polityczne i samorządy, organizacje związkowe, samorządy zawodowe – by się temu wspólnie przeciwstawili”. Nigdzie nie było słowa o tym, jak wymienieni obywatele mieliby łamać i jakie konkretnie zapisy prawa.

„Dziś nadeszła chwila, by wypowiedzieć posłuszeństwo tej władzy. 13 grudnia wyjdźmy na ulice wszystkich polskich miast i miasteczek i pokażmy, że nie zgadzamy się na niszczenie Polski. Zaprotestujmy przeciwko aroganckiej wszechwładzy PiS”. Ani Smolar, ani Frasyniuk, a nawet Krystyna Janda i Lech Wałęsa, podobnie jak reszta podpisanych pod apelem w 2016 r., nie zauważyli, że odbycia demonstracji, na którą zwoływali obywateli, nikt i nic nie wzbraniało.

Idźcie i protestujcie

Wzorowali się widać na nader wybitnej postaci, która przeszła do annałów nieposłuszeństwa obywatelskiego. Na generale de Gaulle’u, który wezwał obywateli Francji do odmowy posłuszeństwa rządowi Vichy i odmowy kolaboracji z III Rzeszą. Z Londynu wezwał.

Kontrmiesiączkujących Obywateli RP w pewnej chwili zainspirował Martin Luther King. Jego zasada niestosowania przemocy wyraźnie natchnęła Obywateli do złożenia ofiary dla polskiej demokracji poprzez złożenie donosu na samych siebie. Na stronie organizacji można bowiem podpisać się pod „Deklaracją nieposłuszeństwa” i wypowiedzieć „posłuszeństwo władzy łamiącej demokratyczne zasady Konstytucji RP”. No i zadeklarować, że Andrzej Duda nie jest naszym prezydentem, podkreślając bycie świadomym odpowiedzialności karnej wynikającej z artykułu 135 §2 kodeksu karnego, który mówi, że kto publicznie znieważa prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech. Andrzej Duda nie poczuł się znieważony, czym skutecznie uniemożliwił setkom osób doświadczenie jakichkolwiek skutków obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

„Osoba stosująca nieposłuszeństwo obywatelskie z zasady godzi się ponieść prawne konsekwencje i traktuje poddanie się tym konsekwencjom jako część demonstracji sprzeciwu” – konkretyzuje odpowiedzialność uczestników nieposłuszeństwa każda z wielu definicji. Bo od kiedy w 1849 r. Henry David Thoreau napisał esej „Obywatelskie nieposłuszeństwo”, każdy wie, że na akt obywatelskiego nieposłuszeństwa składają się dwa elementy: łamanie prawa oraz oczekiwanie kary.

W sierpniu 2016 r. – czyli na długo przed tym, jak TSUE uznało, że kredyty złotówkowe przeliczane na franki szwajcarskie to bankowy przekręt – frankowicze zdecydowali się wykazać obywatelskie nieposłuszeństwo. Akcja miała skłonić banki do restrukturyzacji walutowych zobowiązań. Stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu wymyśliło sprzeciw pod hasłem „Nie płacę haraczu”. Zadłużeni we frankach mieli nie płacić rat przez dwa lub trzy miesiące. Organizatorzy sprzeciwu informowali więc ludzi, że banki mogą krótkotrwale niepłacącym nagwizdać, bo przecież po dwóch lub trzech miesiącach kredytobiorca i tak mógłby spłacić wcześniejsze raty bez żadnych konsekwencji.

Udupiony frankami suweren umiał jednak czytać i w swoich umowach kredytowych znajdował passus, że jak się opóźni z płatnościami, to bank doliczy mu stosowną karę. Wyższą niż odsetki liczone od wziętej z sufitu złotówkowej wartości kredytu. Suweren uznał zatem, że głupi nie jest, bo obywatelskie nieposłuszeństwo ma swoje – wyrażające się w złotówkach – granice. I protestu nie podjął.

O przykuwaniu się nieposłusznych obywateli do drzew i maszyn rąbiących Puszczę Białowieską słyszał za PiS każdy. O sądach, aresztach i wyrokach – nikt. Ale ruch obywatelskiego nieposłuszeństwa na Podlasiu narastał. Co raz to odbywały się przecież

„Spacery obywatelskiego nieposłuszeństwa”; na ten z czerwca 2017 r. przyjechało prawie 800 osób świadomych konsekwencji. Wszak było zimno i mokro, co było nie bez znaczenia dla dobrostanu nieposłusznego obywatela.

Trzeba też pamiętać, że Lasy Państwowe zamknęły część puszczy dla turystów i mieszkańców. I dlatego protestujący obywatele dreptali tam, gdzie zakaz wstępu nie obowiązywał.

Kto konstytucją wojuje...

Od zarania historii tak już jest, że każdy sprzeciw obywatelski służy konkretnemu politykowi. To dla niego kartofle wyciągane są z ogniska cudzymi rękami. W naszej najnowszej historii zasada ta została złamana tylko raz i to nie przez polityków, ale polityczki. Po zabronieniu aborcji przez Trybunał Przyłębskiej posłanki gremialnie przyłączyły się do protestów. Tyle że je po machnięciu przed policją legitymacją poselską puszczano, szeregowe zaś protestujące traktowano pałkami teleskopowymi.

Prekursorką najpopularniejszej dziś formy wyrażania nieposłuszeństwa obywatelskiego była Hanna Gronkiewicz-Waltz. Jako prezydent Warszawy nieustraszenie odmawiała stawienia się przed komisją weryfikacyjną do spraw reprywatyzacji warszawskiej, która powstała po to, by pani prezydent dobrać się do tyłka.

„Komisja jest niekonstytucyjna. Ja zawsze mówiłam, że jeśli będzie ciało niekonstytucyjne, to poproszę, żeby mnie wezwał prokurator, który jest ciałem konstytucyjnym” – opowiadała miesiącami mediom męczennica praworządności. I „niekonstytucyjny” pomiot prawny ją pokarał. Kilka grzywien po parę tysięcy złotych jej przed komisję nie zagoniło, ale zrobiło z niej natychmiast ikonę obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Najśmieszniejsze, że za swoich własnych rządów Zjednoczona Prawica też korzystała z obywatelskiego nieposłuszeństwa. Pod koniec października 2021 r. sąd uchylił decyzję wojewody o rejestracji tzw. Marszu Niepodległości jako cyklicznego zgromadzenia. Po prawomocnym orzeczeniu sądu Ziobro jako minister sprawiedliwości ocenił wyrok jako skrajnie polityczny i podsunął narodowcom pomysł, by – korzystając z instytucji obywatelskiego nieposłuszeństwa – odbyli marsz. Było to kuriozum, bo do złamania prawa nawoływał facet nadzorujący prokuraturę, czyli zapewniający łamaczom prawa bezkarność.

Po utracie władzy PiS przejęło całą paletę zachowań wypracowanych przez antypisowców. Demonstracje i nieatakowane przez policję przemarsze nic nie dawały. Od czego jednak bohaterowie obywatelskiego nieposłuszeństwa? Role te przypadły na początku Kamińskiemu i Wąsikowi. Nieszczególnie im się jednak podobały, bo woleli uzyskać azyl w pałacu Dudy. Ale gdy ich wyciągnięto i na parę dni wsadzono do aresztu, mogli zostać okrzyknięci wzorcami walki obywatelskiej, no i trafić do Europarlamentu.

Potem szło z górki. Nieposłusznymi obywatelami cierpiącymi za wolność byli wszyscy ścigani przez prokuraturę za przekręty finansowe. Potem przyszła kolej na szefów pisowskich służb i członków rządu wzywanych przed oblicza komisji sejmowych. Każde ich nieprzyjście skutkowało karami, ale nade wszystko tworzeniem im nimbu męczenników. Każde doprowadzanie ich przez policję do sejmu i prokuratur było dowodem na opresyjność reżimu Tuska: reżimu działającego nader bezprawnie, bo przecież ani komisje, ani prokuratura nie były zgodne z prawem Przyłębskiej.

Najzabawniejsze jednak, że herosem obywatelskiego nieposłuszeństwa nie został żaden z eskortowanych policyjnie polityków czy siedzący w pudle Matecki, ale gość, który przed gliniarzami dał dyla: Michał Romanowski ścigany za wydawane po uważaniu miliony z Funduszu Sprawiedliwości. Facet osiadł na Węgrzech, nie zostając tym, co w obywatelskim nieposłuszeństwie kluczowe – ofiarą. Ale miłośnikom PiS to nie przeszkadza. Bo w świecie postprawdy nieposłuszeństwa obywatelskiego nie ma. Wszystko jest wyreżyserowanym politycznym happeningiem, z którego nie zdają sobie sprawy jedynie uczestniczący w protestach.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Polski trotyl poleci do Ameryki. A dokładniej – do amerykańskich bomb i pocisków artyleryjskich. Zakłady Nitro-Chem z Bydgoszczy podpisały kontrakt na dostawę 8 tys. ton trotylu w latach 2027–2029. W sprawie wypowiedział się sekretarz stanu MON Cezary Tomczyk, który ochrzcił kontrakt mianem kolosalnego. Dzięki temu świat dowiedział się o istnieniu bydgoskiej fabryki trotylu. Bo – nie oszukujmy się – w Polsce do tej pory wiedzieli o niej głównie pracownicy i ich sąsiedzi. Lojalnie też uprzedzamy sojuszników. Z bydgoskim trotylem w armatach to na wojnę się nie śpieszcie. Może po prostu coś nie wypalić.

▮ Rząd podniósł maksymalne stawki za wywóz śmieci z powodu wzrostu przeciętnego dochodu rozporządzalnego. Skoro według statystyk mamy więcej pieniędzy, to można nam zabrać więcej. Nowe limity opłat śmieciowych w zależności od metody liczenia: od osoby – wzrost z 53,56 zł na 63,34 zł; od zużycia wody – 22,17 zł za m sześc.; od gospodarstwa – 177,36 zł, od powierzchni lokalu – z 2,14 zł na 2,53 zł za mkw. Domki letniskowe – 316,71 zł. Żadna gmina w Polsce jeszcze nie stosuje maksymalnych stawek. Ale skoro limit podniesiono, to wójtowie i burmistrzowie już ostrzą kalkulatory.

▮ W 15. rocznicę katastrofy smoleńskiej aktywista klimatyczny z ruchu Ostatnie Pokolenie postanowił zamanifestować swój sprzeciw wobec… no właśnie, wobec czego? Wspiął się na pomnik ofiar i oblał go czerwoną farbą. Według aktywisty katastrofa smoleńska miała konsekwencje ekologiczne, jak skażenie lasu katyńskiego paliwem lotniczym i emisja szkodliwych substancji do atmosfery. Pominął jednak najbardziej toksyczny skutek katastrofy: masową epidemię psychozy narodowej.

▮ Prawo człowieka zostało złamane, i to w samym sercu Warszawy. Mieszkaniec budynku wielorodzinnego przez dwa lata próbował zamontować stację ładowania przy swoim prywatnym miejscu postojowym w garażu. I przez dwa lata zarząd wspólnoty skutecznie to blokował. Warszawski sąd rejonowy uznał, że to działanie było bezprawne i nakazał wydanie zgody na montaż, powołując się na ustawę o elektromobilności. Do tego wspólnota ma zapłacić koszty procesu. Uważamy, że prawo do własnej wtyczki dla jasności należałoby zawrzeć w konstytucji.

▮ W Godzianowie pod Skierniewicami 32 Kolumbijczyków pracowało w ubojni drobiu. Legalnie, z zaangażowaniem i – jak się okazało – zupełnie za darmo. Ubojnia jest polska, ale robotników wynajęła przez pośrednika – firmę założoną przez Palestyńczyka. Polacy zapłacili Palestyńczykowi. Palestyńczyk zniknął razem z pieniędzmi, które miały trafić do Kolumbijczyków. I niech mi teraz ktoś powie, że ci Żydzi nie mają choć odrobiny racji.

▮ Małżeństwo P. z Wrocławia zrobiło z glejaka mózgu dochodowy biznes. Przez sześć lat udawali, że mąż walczy z groźnym nowotworem, i wyłudzili od ponad 3 tys. osób pół miliona złotych. Prokuratura Okręgowa we Wrocławiu właśnie zakończyła

eprasa.pl f544429224

AAA młodą osobę zdemoralizuję

Ostrożnie z psychoterapią

Namnożyło się w świecie samozwańczych psychoterapeutów tłukących kasę na wmawianiu młodym ludziom, że są wspaniali, tylko akurat ich starzy są do dupy. Taki chłopak albo dziewczyna, co to ma, jak to się dawniej mówiło, „problemy ze sobą", dowiaduje się od zawodowego demoralizatora, że ich rodzina jest „toksyczna", w dzieciństwie byli „krzywdzeni" i „traumatyzowani" (co w celach samoobronnych „wyparli z pamięci"), wobec czego powinni się teraz zbuntować, pokochać siebie takimi, jakimi są, zadbać o siebie, a złe relacje „przepracować" albo w ogóle je zerwać. Bo to ty, młody człowieku, jesteś w tym wszystkim najważniejszy. I oczywiście jako wspaniały klient jesteś bez zarzutu. Ty w żadnym wypadku nie jesteś toksyczny, a jeśli masz „problemy przystosowawcze", to dlatego, że zaburzeni ludzie wokół ciebie nie dali ci wyboru. Musisz więc wreszcie uwierzyć w siebie, a przeszłość, w której to cię tak bardzo krzywdzono, „przepracować", by już z lekkim sercem i ze spokojem ducha iść dalej ku jasnej przyszłości.

Domorosła psychoterapeutyczna hochsztaplerka rządzi się prawami rynku i zasadami sekciarstwa. Aby upolować i zatrzymać klientów, trzeba im usilnie schlebiać, brać na ambicję i na różne sposoby psychicznie uzależniać. W tym ostatnim zaś pomagają stare dobre wzorce wypracowane przez proroków i guru wszystkich epok i kontynentów. Należy do nich wytwarzanie w adepcie sugestii, że jest wtajemniczany w jakąś ezoteryczną wiedzę, która wywyższa go ponad otoczenie, a jeśli będzie wierny i pokorny, to czekają go kolejne stopnie owego wtajemniczenia oraz stosowne idące za tym awanse. W pseudopsychoterapii rolę tego wtajemniczenia odgrywa uproszczona teoria psychologiczna, którą „psychoterapeuta" serwuje swojemu klientowi, czyniąc z niego dumnego i zarozumiałego dzidzię-psychologa. A potem przychodzi taki do rodzonej matki i pieprzy jej, że jest właśnie w procesie przebudowywania relacji z rodzicami i jeśli proces ów ma się powieść, owi rodzice muszą uznać swoje błędy i zmienić swoje postępowanie albo, niestety, relacja będzie musiała zostać rozwiązana. No i wtedy sam już nie wiesz, czy masz dać młodemu ścierą przez łeb, czy się rozpłakać. Osobiście zalecam popukać się w czoło. Gorzej, gdy przemądrzały narcyzm wdziera się do małżeństwa mającego dzieci. Dziecko płacze, a ty słyszysz, że nie zaspokajasz potrzeb emocjonalnych i nie dajesz poczucia bezpieczeństwa, a nawet jesteś roszczeniowy, osaczający, przekraczający granice, niedający przestrzeni i w ogóle toksyczny. W takim przypadku zalecam ostry seks, ale uprzedzam, że może to nie pomóc. Z kretynem lub kretynką w domu na dłuższą metę nie da rady.

Hodowla narcystycznych, niedojrzałych i roszczeniowych smarkaczy, którzy oczekują hołubienia i niańczenia, od siebie nie dając nic i niczego sobie nie zarzucając ani nie narzucając, to biznes miliardowy i w pełni sprofesjonalizowany.

Są w nim detaliści i mali chałupnicy oraz poważni przedsiębiorcy, produkujący na masową skalę owych detalistów poprzez sprzedawanie im pseudodyplomów ukończenia pseudokursów pseudopsychoterapii. Niezłym biznesem jest również wytwarzanie i publikowanie tanich poradników szczęśliwego życia bez traum i kompleksów, poradnictwo online i offline, zwane coachingiem.

Rys. WIDGET

Cały ten szarlatański biznes opiera się na bardzo przewrotnej idei wynicowanej moralności. Bo przecież nie jest to amoralizm i cynizm zupełny. Owszem, klient takiego hochsztaplera uczony jest egoizmu, utwierdzany w swych najgorszych narcystycznych cechach i wzorcach zachowania, nakłaniany do traktowania innych w sposób najkorzystniejszy dla siebie, a więc instrumentalny. A jednak w tym obrzydliwym, przemądrzałym i infantylnym przekazie „kultury narcyzmu", w której zanurzona jest domorosła „psychoterapia", jak rodzynki w cieście poutykane są wartości moralne i słuszne moralne postulaty. Prawdą jest, że w wielu relacjach z bliskimi osobami jesteśmy krzywdzeni i cierpimy z powodu zależności od tych, którzy nas krzywdzą. Prawdą jest, że ludzi pognębionych trzeba wzmacniać i wspierać, dodając im otuchy i wiary w siebie. Prawdą jest, że dziecku należą się miłość i szacunek i że nawet to „dziecko w nas", czyli infantylne części naszej osobowości, wymagają pewnych względów i delikatności. Prawda jest, że każdy powinien dbać o swój emocjonalny dobrostan i unikać tego, co go emocjonalnie niszczy.

A jednak gdy się te wszystkie prawdy zawiesi w próżni albo jeszcze gorzej: w amoralnym egoizmie, to wychodzi z tego pokraczna pseudopsychologia i pseudomoralistyka w jednym. A dzieje się to bezwiednie i spontanicznie, bo wytwórcy masowej konfekcji psychologicznej ani nie mają głębszej i poważniejszej wiedzy psychologicznej, ani tym bardziej nie mają zdolności do krytycznego i odpowiedzialnego osądu spraw natury etycznej. Są jak egocentryczne, aczkolwiek do jakiegoś stopnia wrażliwe i sentymentalne dzieci. Ale co przystoi dziecku, to u starych koni (i klaczy) staje się odrażające i groteskowe.

JAN HARTMAN

Na zdrowie od „uśmiechniętej Polski"

W standardach opieki zdrowotnej zmierzamy do Ameryki. To nie jest dobry wzorzec.

Bajki dla myślących

Polska – prawdziwa bajka: Janusz, hydraulik (może powinnam napisać biznesmen – bo od lat na śmieciówce?), powtarzał, od kiedy pamiętam, że nie należy się badać i chodzić do lekarzy, bo na pewno coś znajdą. I albo ta zbożna postawa faktycznie chroniła go przed poważniejszymi chorobami, albo (jak sądzę) miał wiele szczęścia, bo przez całe swoje niemal siedemdziesięcioletnie życie chyba udało mu się nie zdradzić swych przekonań. Ale kiedy karetka zabrała go z ulicy z zatorem mózgowym, to ze względu na porażenie mowy nie był wstanie zaoponować przeciw zawiezieniu go do do szpitala. No i trafił w ręce umundurowanych w białe kitle – jak powiadał – oprawców. Pierwsze diagnozy, jakie od nich usłyszał, nie były pocieszające, co umocniło go w przekonaniu, że do czasu pobytu w szpitalu był zdrowy, a cały cykl badań i zabiegów jedynie stworzył jego chorobę. Pewnie by zwiał ze szpitala, gdyby mógł, ale nie tylko mowa, ale także nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Skończyło się na tym, że w szpitalu przebywał ponad miesiąc, poddawany okrutnym zabiegom leczniczym i rehabilitacyjnym.

Dziś, na razie o kulach, pełen nadziei na przyszłość spaceruje w pobliskim parku, popijając piwko na ławeczce i kontemplując uroki warszawskiej wiosny. Janusz jaki jest, każdy widzi. Ale wszystko niby pięknie się skończyło! No nie?

Tak, wiem, że to nie cała prawda! Nie krzyczcie na mnie. Usiłowałam umówić się ostatnio do lekarza specjalisty i na badanie USG w formule NFZ. Chciałam także na NFZ wyleczyć zęby – kompletna porażka. Więc wiem! Ale posłuchajmy innej bajki.

Ameryka – prawdziwa bajka: Piotr wraz z żoną Mileną niedawno wrócił do Polski z wieloletniej zarobkowej emigracji ze Stanów. On wrócił do Polski z emigracji, a jego żona, urodzona w USA, właśnie do Polski razem z nim emigrowała. Opowiedzieli mi historię dotyczącą Mileny. Milena w 2020 r. zachorowała na covid. Przebieg choroby był dramatyczny – covid ewidentnie miał zamiar ją zabić. Trafiła do okolicznego szpitala w Leesburg w Wirginii, gdzie mieszkali. Pobyt w szpitalu trwał miesiąc.

Rys. TOMASZ WIATER

Milena szczęśliwie wyzdrowiała. Jednak oboje do dziś są dłużnikami szpitala, który wycenił koszt leczenia na 1 mln 150 tys. USD. Trzeba wiedzieć, że ok. 40 proc. Amerykanów nie jest ubezpieczonych – Milena na szczęście się ubezpieczyła.

Od lat płaciła wysokie stawki za polisę. Ubezpieczyciel sfinansował leczenie Mileny w kwocie prawie 800 tys. dolarów. A co z pozostałą częścią faktury szpitala? Różnicę w wysokości 350 tys. USD pokrywają do dziś Milena i Piotr. Twierdzą, że długu nie zdołają spłacić do końca życia. Muszą pozostawić jego część w spadku córce. Wyczytałam gdzieś, że 100 mln ludzi w USA jest zadłużonych wobec szpitali na kwotę 200 mld dol. Wieje grozą! No nie?

Donald Tusk obiecał nam „uśmiechniętą Polskę". Daleko mi jednak do uśmiechu, gdy myślę o stanie opieki medycznej w Polsce, a szczególnie o jej przyszłości. A może to nie o mój uśmiech Tuskowi chodziło? Od równo 20 lat (od czasu rządu Kazimierza Marcinkiewicza) w Polsce rządzi bipolarny układ dwóch ugrupowań prawicy: PO–PiS. A jeśli chodzi o stan opieki medycznej, jest tylko gorzej. Nawet kolejne kampanie wyborcze nie są w stanie zmusić prawicy do działania na rzecz uleczenia jeszcze żywej, ale już śmiertelnie chorej opieki medycznej. Kolejne rządy zamierzają najwyraźniej po cichu zagłodzić publiczną opiekę medyczną, wspierając tym samym prywatną. Marzy im się Ameryka! Efekt jest taki, że Polska jest jednym z krajów Europy, które wydają najmniej na opiekę zdrowotną. Niemcy wydają na nią 12,6 proc. swojego ogromnego PKB. Francja niemal 12 proc. W Rumunii, Łotwie i Litwie wydatki na opiekę zdrowotną w ostatnich latach się podwoiły. W Polsce wydatki na ten cel prawie nie rosną i wynoszą tylko 6,4 proc. PKB.

A tymczasem w prywatnej opiece medycznej dochody inwestorów cichaczem, lecz lawinowo rosną. Wcale to jednak nie przekłada się na poprawę standardu usług medycznych. Wydawać by się mogło (np. Mentzenowi), że przynoszący dochody prywatny, szczególnie sieciowy, biznes medyczny będzie mógł zapewnić dostęp do usług wszystkim, którzy zgodzili się wykupić abonament. Ależ skądże! Ci naiwniacy to druga kategoria klientów. Pierwszeństwo mają wszyscy, którzy gotowi są zapłacić znacznie wyższą stawkę za jednorazową usługę – klienci pozaabonamentowi. Ostatnio jeden z właścicieli prywatnej kliniki wysypał się dziennikarzowi Wyborczej.biz, iż działa to tak, że lekarz Lux Medu, gdy w kalendarzu wyczerpie już zapas klientów gotówkowych, robi klik i zaczyna obsługiwać tych z abonamentu. Na kliencie przychodzącym z gotówką lekarz zarabia więcej niż na obsłudze klienta abonamentowego. Podobno kierownictwo medycznej sieciówki uważa, że to właściwy sposób działania. A ty, abonamentowy naiwniaku, próbowałeś złapać jakiś pilny termin na badania lub do specjalisty w komercyjnej sieciówce? Powodzenia.

Pompowanie dochodów prywatnej opieki zdrowotnej przez polityków polega właśnie na tym, aby trzymać publiczną ochronę zdrowia na głodzie. Bo im gorzej w publicznej, tym lepiej w prywatnej. Widzę to tak: rządząca polska klasa polityczna od ponad 20 lat Europę i jej ideały ma tylko w gębie, a realny kierunek marszu to Ameryka. Uczciwie trzeba dodać, że PiS, w przeciwieństwie do hipokryzji jego politycznych adwersarzy, przynajmniej ze swą miłością do Ameryki się nie ukrywa.

ANNA GRODZKA

śledztwo. Żona twierdzi, że jest niewinna, bo sama wierzyła w chorobę męża. Kto by pomyślał, że chorowanie na raka może być tak intratnym zajęciem? Oby sąd okazał się odporny na fałszywe łzy i potrafił odróżnić prawdziwy ból od udawanego.

▮ Amerykańscy żołnierze uciekają z Jasionki. A przecież dopiero co tam zawiązali główny punkt przerzutu sprzętu potrzebnego ukraińskiej armii w wojnie o pokój. Relokacja przebiega w „spokoju i godności" – zapewniają władze. Wójt gminy Trzebownisko, w której leży podrzeszowskie lotnisko, niczym oberżysta z westernu zapowiada, że jego gmina przyjmie każdego innego żołnierza: Niemców, Rosjan, kosmitów… oby tylko płacili.

▮ Nowy Targ kipi od plotek. W Powiatowym Zarządzie Dróg zatrudniono córkę wicestarosty Jacka Króla. Dotychczasowe doświadczenie zawodowe panienki ograniczało się do pracy w szklarni, co budzi wątpliwości co do jej kompetencji w nadzorowaniu przetargów. Ale oj tam, oj tam, wszystkiego można się nauczyć. Poza tym na tej pustyni niekompetencji do kogo wicestarosta miałby mieć większe zaufanie niż do własnej córki?

▮ 32-letni Polak uciekający przed niemiecką policją zakończył swój żywot. Pędził 100 km/h, ignorując ograniczenie do 50 i czerwone światła. Gdy wreszcie go zatrzymali, wyskoczył z kabiny i próbował uciekać pieszo. Policjanci użyli paralizatora i pałki. Wkrótce stan Polaka się pogorszył, stracił przytomność. Zmarł. Ale policja twierdzi, że ich interwencja nie miała z tym nic wspólnego. Niemiecka policja słynie z delikatności, więc kto wie, może to prawda.

▮ W 20. rocznicę śmierci Jana Pawła II dwóch śmiałków wdrapało się nocą na Giewont, aby rozświetlić tamtejszy krzyż latarkami na akumulatory. Ludność Zakopca była wzruszona. Straż Tatrzańskiego Parku Narodowego również. Dowaliła turystom mandat. Nocne górskie wspinaczki są zabronione od marca do listopada. Papież tańczy breakdance w trumnie.

▮ Na wschodniej granicy psy, gumowe kule i płot za miliardy, żeby „bronić" Polski przed uchodźcami z dziećmi. Ale wystarczyło pójść do powiatowego urzędu pracy na Mazowszu i… hop, jesteś legalny! Trzej bohaterowie, w tym dwaj urzędnicy, właśnie zostali zatrzymani przez straż graniczną za pomaganie w procederze, który od 2018 r. sprowadził do Polski 12,5 tys. cudzoziemców. Wszystko na tip-top: lewe papiery, fikcyjni pracodawcy, legalne wizy. Kiedy jeden migrant próbuje przejść przez las, gaz i kolczatkę, inny przyjeżdża z papierami wystawionymi przez zorganizowaną grupę przestępczą z udziałem urzędników – witamy w Schengen. Dwaj siedzą. Reszta czeka na awans.

▮ Psia agresja w Polsce kwitnie. W 2024 r. odnotowano prawie 27 tys. pogryzień – średnio 73 dziennie! Izabela Kadłuczka, biegła sądowa z zakresu psychologii zwierząt, sporządziła raport, z którego wynika, że za psie zęby odpowiadają właściciele. Niczym rodzice za swoje pociechy. I słusznie, bo umysłowość trzylatka i psa niewiele się różnią. Może więc czas wprowadzić psie przedszkola i obowiązkowe szkolenia dla właścicieli? Albo po prostu zacznijmy traktować psy jak psy.

RJ

PS Źródłem informacji jest prasa regionalna znana z niepowtarzalnego stylu i jeszcze bardziej oryginalnych faktów. Za wszelkie ewentualne zderzenia z rzeczywistością nie odpowiadamy.

eprasa.pl f544429224

Jajkiem o jajko

Polska skorupka musiała za młodu nasiąknąć czymś dziwnym

WHO rekomenduje ludziom zdrowym zjadanie do 10 jaj tygodniowo bez obaw o arteriosklerozę i cholesterol. Włącza w to jaja wykorzystane do produkcji wypieków i innych potraw. Gdyby wszyscy Polacy byli zdrowi i jajożerni, spożycie powinno wynosić prawie 200 mld sztuk rocznie. Tymczasem polskie kury wystrzeliwują ledwie 10 mld jaj.

Polacy podchodzą jednak do światowej nauki sceptycznie. I zamiast wcinać jajecznicę czy jaja w szklance, buszują w internecie, a potem wykorzystują otuloną skorupką mieszankę aminokwasów na setki sposobów mających przyczyniać naszej nacji korzyści.

Preparaty żółtkowe

Bo dzięki internetowi wiemy, że jajo może więcej niż NFZ czy nawet kliniki prywatne. Żeby pozbyć się nowotworu czy skutków wylewu, wystarczy przecież szklanka wody wypełniona do 3/4 wodą, jajko, miseczka i zapalona świeca. Niezbędna jest też osoba, która będzie zabieg przeprowadzała.

Warunkiem powodzenia kuracji jest to, żeby chory nie miał na sobie żadnych metalowych ozdób. Zegarka też.

Leczący czyni na piersiach chorego znak krzyża, wypowiadając różne kwestie. Co do tego jakie, kłócą się dwie szkoły – podlaska i ezoteryczna. Ta pierwsza optuje za wezwaniem, aby za wstawiennictwem Matki Boskiej choroba opuściła ciało chorego i wszedłszy w jajo, nie wracała.

Ezoterycy są zdania, że wspomaganie się osobami trzecimi nie jest konieczne i wystarczy tylko przemówić do choroby, prosząc ją, żeby sobie odpuściła.

Po takim spiczu osoba prowadząca leczenie bierze jajko prawą ręką. I trzyma tak, aby palce otaczały je przy szerszym końcu. Ostrzejszy koniec jajka powinien być skierowany na czubek głowy chorego.

Pacjent może doświadczać w czasie wykonywania takiej terapii nieprzyjemnego swędzenia, dreszczy lub pieczenia. Świadczy to tylko o tym, że kuracja działa, a wszelkie patogeny są właśnie absorbowane przez jajko.

Po skończeniu procedury leczenia głowy terapeuta przeciąga jajkiem wzdłuż kręgosłupa, „poczynając od kości ogonowej, a kończąc u podstawy czaszki. Następnie powinien zataczać spiralne ruchy jajkiem z góry na dół, aż chory poczuje wyraźną ulgę”.

Wyznawcy teorii podlaskiej upierają się, aby teraz leczący wypowiedział taką kwestię: „W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, chorobo, opuść ciało – imię i nazwisko chorego – i nigdy więcej tu nie wracaj”. Ezoterykom wystarczy formułka: „Zła energio idź przez z – tu imię i nazwisko osoby leczonej – i zostaw miejsce energii dobrej, która sprawi, by w tym ciele już nigdy nie gościło nic prócz czystości, prawdy i siły”.

Po wypowiedzeniu tej kwestii procedura terapeutyczna wymaga, aby osoba prowadząca zabieg rozbiła delikatnie skorupkę jajka i we właściwym momencie przelała białko i żółtko do szklanki.

Gdy w jej dłoni zostanie tylko skorupka, ma powiedzieć: „W mojej ręce trzymam nie skorupkę, lecz chorobę – znów imię i nazwisko chorego”.

Teraz należy błyskawicznym ruchem rozgnieść skorupkę i „wrzucić ręką od siebie” do miski, mówiąc: „Przecz!”. Skorupkę po zabiegu należy wyrzucić – bez dotykania – do sedesu, po czym myć długo ręce w zimnej wodzie z dodatkiem soli.

Chory już od tego momentu jest zdrowy. Można jednak zbadać genezę jego choroby. Odbywa się to poprzez analizę będącego w wodzie w szklance białka i żółtka. Aby wynik badania był optymalny, należy postawić szklankę „na czymś wyższym i obracać ją pod światło”.

Ponieważ „żółtko jest obrazem życia człowieka i jego wnętrza”, białko zaś – „zewnętrznych okoliczności i wpływów”, łatwo zinterpretować przyczynę niemocy. Gdy białko układa się w kształt trumny lub krzyża, to znaczy, że ktoś z wykorzystaniem złych mocy próbował spowodować śmierć pacjenta. Jeśli białko jest bardzo mętne i przypomina mgłę lub chmurę, oznacza, że prawdopodobnie zły człowiek prowadził taką osobę do rozstroju nerwowego lub choroby psychicznej. A „wyraźne nitki ciągnące się od żółtka aż na powierzchnię wody lub pęcherzyki” wskazują miejsca zaatakowania chorobą konkretnych organów.

Powrósła wyprysków

Oczywiście przy problemach z głową jajo też się sprawdza. Dzięki terapii nim chory oszczędza na wizycie u lekarza i medykamentach. Sam się wyleczy. Wystarczy bowiem koło łóżka, gdzie się śpi, postawić na szafce albo krzesełku od strony głowy szklankę napełnioną do połowy nieprzegotowaną wodą i wlanym w nią jajkiem. Ważne, żeby podczas wlewania żółtko się nie rozpadło.

Teraz wystarczy zasnąć. Jajko, ściągając w siebie złą energię, będzie rosło. Jeśli przez trzy noce jajko wygląda normalnie i nie ma żadnych „macek ani powróseł wychodzących z jego żółtka”, to kończymy leczenie. Jajko spełniło bowiem swoją terapeutyczną rolę i uwolniło nas od – drobnych jak widać – dysfunkcji emocjonalnych.

Gdy jednak rano w szklance chory zobaczy „wijącą się girlandę z białka i różne nitki wychodzące z jajka”, zabieg należy powtórzyć przez siedem kolejnych nocy. Za każdym razem po obejrzeniu zawartości szklanki należy ją opróżnić, wylewając do sedesu, po czym dokładnie umyć wodą z solą.

Czasami jednak żółtko jest nienaruszone, a „białko otacza cały brzeg szklanki i nawet z niej wychodzi”. Oznacza to, że wnętrze chorego jest „czyste”, problem zaś przychodzi z zewnątrz, czyli osoba taka stresuje się z powodu otaczających ją ludzi. Gdy jednak „białko jest czyste, a ze środka żółtka wychodzą różne nici i pną się w kierunku brzegu szklanki albo rozchodzą dookoła”, to znak, że we wnętrzu chorego nie wszystko jest w porządku. Jednak jajko te problemy wyleczy.

Z tym że po siedmiu zabiegach trzeba zrobić przerwę w kuracji. Nawet na pół roku. Ale jeśli nasz problem powrócił szybciej, to należy przejść do nieco bardziej forsownej terapii i w jednym ciągu zużyć na nią mendel jaj, czyli 15 sztuk.

Setki osób toczą na forach internetowych dyskusje o tym, jaką liczbę jaj należy ugotować, aby woda, w której się je gotuje, była lekarstwem na taką lub inną dolegliwość skórną. Konsensus jest tylko w przypadku egzemy, której można się pozbyć, przemywając chore miejsca wodą, w której ugotowano pięć średnich jajek. Przemywanie trzeba powtarzać dwa razy dziennie przez miesiąc. Woda powinna być nieosolona i przestudzona do 30 st. Celsjusza.

W przypadku łuszczycy toczy się spór pomiędzy zwolennikami wody z gotowania trzech jaj klatkowych z tymi, którym pomogła woda po czterech jajkach od kur z wolnego wybiegu.

Dość niejednoznacznie ma się też kwestia zwalczania trądziku i innych wyprysków skórnych. Konflikt ma podłoże religijne. Katolicy uważają, że procedura przygotowania lekarstwa polega na tym, że przed wschodem słońca w Wielką Sobotę należy obrać ugotowane w piątek wieczorem dwa jaja, a skorupki zalać źródlaną wodą. Potem trzeba znaleźć takie okno, aby na naczynie padły pierwsze promienie wielkosobotniego słońca. Koncepcja ta ma zagorzałych krytyków, twierdzących, że słońce nie jest konieczne, bo przecież dzień przed Wielkanocą może być pochmurny. A rolę promieni słońca doskonale spełni lampa UV. Byle tylko została skierowana na skorupki leżące w wodzie po ciemku przynajmniej sześć godzin.

Białkiem w łój

Oczywiście surowe jajko też ma zastosowanie. Trzeba utrzeć żółtko roztarte z łyżeczką cukru trzcinowego, łyżką octu jabłkowego i połową szklanki oleju. To, co wyjdzie, nałożyć na twarz i potrzymać 10 minut. Stosowanie kogla-mogla przez tydzień „przywraca jędrność i elastyczność zmęczonej i suchej cerze”.

Gdy zaś do piany z białek doda się trochę soku z cytryny, a potem miksturę z tego nałoży się na buźkę, to szlag trafi wągry, rozszerzone pory, a nawet zostanie przystopowana produkcja łoju. Z kolei jak się połączy dwa żółtka, pół łyżeczki oliwy lub oleju rycynowego oraz kilka kropel soku z cytryny i wetrze się to w kudły, pozostawiając na kwadrans, to po umyciu głowy okaże się, że włosy będą lśniące, odżywione i nawilżone. I wcale nie będzie to zasługa użytego do mycia szamponu.

Jajkiem należy też zaatakować odciski i nagniotki. Potrzeba do tego białka, dwóch łyżek oleju rycynowego i łyżki octu. Nakładanie mikstury dwa razy dziennie na chore miejsce spowoduje, że po jakimś czasie zaobserwuje się efekt zmiękczenia tkanki. Po jakim? Niestety, nie wiadomo.

Uroda jest niezbędna Polkom w celu zdobycia męża i zostania kandydatką do 800 plus. Potrzebne do tego jest też jajo. Portale przypominają zatem niezamężnym niewiastom, że gdy będą nosiły w torebce gotowane jajo, to na mur zostaną dostrzeżone przez kandydata na męża.

Gdyby zaś po ślubie para nie miała sukcesów prokreacyjnych, to miast łazić po lekarzach, lepiej zastosować zachwalaną przez internautki tradycyjną metodę stymulacji poczęć – pod prześcieradło włożyć drobno utłuczone skorupki ugotowanego na miękko jajka.

Pełne porad związanych z jajami są też internetowe fora budowlane, na których roi się od architektów i inżynierów. Najczęstsze porady dotyczą tego, ile skorupek należy wrzucić w fundament nowo stawianego budynku, by najlepiej zabezpieczyć go przed wilgocią. Wśród fachowców panuje w tej sprawie zgoda. Niemal jednym głosem piszą, że 20 to odpowiednia liczba. Ale żeby skorupki lepiej działały, doradzają jeszcze zastosować odpowiednią izolację.

Podobnie rzecz się ma z pytaniami, ile białek należy dodać do zaprawy do tynków, aby na ścianie nigdy nie było grzyba. Zawodowi tynkarze doradzają kopę oraz nie wiedzieć czemu grzybobójczy impregnat na dodatek.

Przez facebookowe grupy dla budujących swoje domy przetaczała się debata, czy aby ochronić dom przed wyładowaniami atmosferycznymi, lepiej umieścić skorupki jajek nad kalenicą, czy może skuteczniejsze jest wrzucenie całego jajka do fundamentu. Wbrew pozorom niewiele osób trollowało pytających. Co nie jest dziwne w kraju, gdzie ledwie parę procent stawianych indywidualnie domów ma swoją instalację odgromową, a tysiące Polaków rozsypują w ogrodach skorupki, aby chronić się przed gąsienicami.

Jajka służą też w Polsce do zapewniania sobie władzy, czyli kasy. Niektórzy idą na skróty, pomijając władzę. Nazywają się ekologami i zamieszczają choćby takie apele: „Kupujmy jajka od kur »szczęśliwszych« i wspierajmy polskich przedsiębiorców, którzy hodują je ekologicznie lub na wolnym wybiegu”. Skutki takich apeli objawiają się zaś najszybciej na kontach lub w kieszeniach walczących o dobrostan niosek bojowników zasilanych dotacjami przez właścicieli ferm z wolno biegającym drobiem.

Udowadniając, że jesteśmy nacją, w której ani wykształcenie, ani technika nie mogą zapobiec temu, że w jajo dawaliśmy, dajemy i będziemy dawać się robić.

TOMASZ BOROWIECKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

PLURALIS MAIESTATIS

Nioski zombie

Czarne słońce, czarna zima, wozy kolorowe...

W lesie w okolicach Nidzicy znaleziono 700 martwych kur. Padły na ptasią grypę. Z okazji świąt Wielkiej Nocy życzę owym kurom, aby zmartwychwstały, a nawet zaczęły nieść pisanki!

Rzecz jasna państwo polskie na pewno już truchełka zutylizowało, czyli spaliło. Nie widzę w tym problemu – podnieść się z prochu to tylko większa frajda!

Ostatnie dni pokazują, że Polska jest potęgą we wzbudzaniu trucheł. Jak i to, że nawet bardziej od ptasiej grypy, która wszakże może zaatakować godło, grozi nam wybuch wścieklizny. Już lata temu redaktor Tadeusz Jasiński grzmiał, że powinny być powszechne szczepienia na tę chorobę. Nie ma. Co najwyżej możemy iść do lasu i znaleźć, a dalej podgryzać kostkę z antywściekową szczepionką, którą wyrzucono tam dla lisów. Polska lisem Europy na pewno nie jest, co bezwzględnie udowadnia okrzykami z minionego Marszu Patriotycznego: – Tu jest Polska, nie Bruksela! No, wygrajcie, wyjdźcie z Unii, a czemu by nie? Kto wam zabroni?

Przy okazji – wieśniaki trują lisy na śmierć. Na ścierwo lisów przylatują bieliki. I co mamy – całkiem zdechnięte, otrute godło. No, naród szachistów to nie jest.

Nidzica, czyli Nibork, czyli Neidenburg, czyli Nidaspils, jest łonem pisarza Jakuba Żulczyka. Tego, co nazywa siebie patologicznym Polakiem, twórcy tzw. komplementu prezydenckiego. Żulczyk nazwał Dudę debilem. Za co najpierw w komercyjnej telewizji przepraszał debili, a dalej w sądzie kurtuazyjnie Najwyższego Urzędasa, choć proces wygrał.

W Nidzicy co roku odbywa się zjazd pisarzy tworzących fantastykę, Jakub Żulczyk tam już nie zagości, bo od wielu lat jest trzeźwy, a w Nidzicy za kołnierz się nie wylewa. Wiem, bo byłam. W czasach, kiedy problemem była plaga kleszczy, a nie zombie niosek. Wtedy po prostu człowiek musiał uważać, do którego stolika się przysiada – bo część polskich pisarzy fantastów, jak świat światem, jest mocno prawicowa. U niektórych prawicowość przejawia się tym, że nawet w pełnym słońcu łażą w kontuszach. Epidemię kontuszy można było odnotować na marszu – 12 kwietnia. Bardzo jestem ciekawa, jak Jakub Żulczyk, pisarz zacny i trzeźwy, zdiagnozowałby kandydata Nawrockiego? Albo jeszcze lepiej – niech napisze o nim jakiś serial. Podstawę już ma, wszakże jest autorem powieści „Czarne słońce”, o której napisano: „W ojczyźnie przyszłości wrogowie pozbawieni są wszelkich praw. A wrogiem jest każdy Inny, każdy Obcy. Odgrodzona od dogorywającej Europy, rządzona przez Ojca Premiera, Wielka Polska nigdy nie zostanie zalana przez hordy uchodźców, nie będą panoszyć się w niej zdrajcy i degeneraci”…

To notka z okładki, powieść wydano nakładem wydawnictwa Świat Książki w Warszawie w roku 2019. Przeczytałam, bardzo dobra. Choć zapewne nie tak dobra jak – hmmm – tfurczość Tadeusza Batyra. Co do innego kandydata, zwanego Bonżurem, to ponoć ktoś mu chciał trzasnąć gazem. Panie Bonżur, da się przeżyć! Polska policja, włamując się na moją chatę w poszukiwaniu padliny, trzasnęła gazem mojej 80-letniej Mamie i mnie – jakoś przeżyłyśmy. A nie jesteśmy nioskami zombie ani kandydatkami na prezydenta. To doznanie zagwarantowali nam sąsiedzi donosiciele, których zdradzieckich mord dopatrywałam się na marszu.

Jego organizator, Patryk Jaki, ogłosił, że Polska jest Jasonem Bourne'em narodów. Bo tak jak bohaterowi książek Ludluma i filmów z Damonem wmówiono nam, że nie możemy się dowiedzieć, kim jesteśmy. Jaki wzywa do oporu: „Nie, właśnie mamy się dowiedzieć. To tysiąclecie powinno być narodowymi rekolekcjami, żeby przypomnieć Polakom, kim oni naprawdę są. Są następcami dumnej Rzeczpospolitej. Wolnej, dumnej Rzeczpospolitej. Oni chcą nam wmówić, że nasza historia to tylko wstyd. A guzik prawda!”.

eprasa.pl f544429224

Krajem szczególnie przychylnym zombie to my nie jesteśmy

Zmartwychwstanie po polsku

Znany z miliona filmów Zdzisław Wardejn umarł, gdy miał 16 lat. Miał pecha mieszkać w czerwcu 1956 r. w Poznaniu. Wtedy Cyrankiewicz odcinał tam rękę podniesioną na władzę. Byli zabici, ranni i zapuszkowani. Jednym z zabitych okazał się Wardejn. Oberwał w głowę. Rodzina zidentyfikowała zwłoki, pochowała chłopaka i przystąpiła do stypy. Właśnie na taki rodzinny obrazek trafił Wardejn, którego po kilku dniach przetrzymywania bez poinformowania o tym bliskich zwolniono do domu. Ponieważ chłopak był nieletni, to kwestię jego administracyjnego powrotu do życia łatwo było odkręcić.

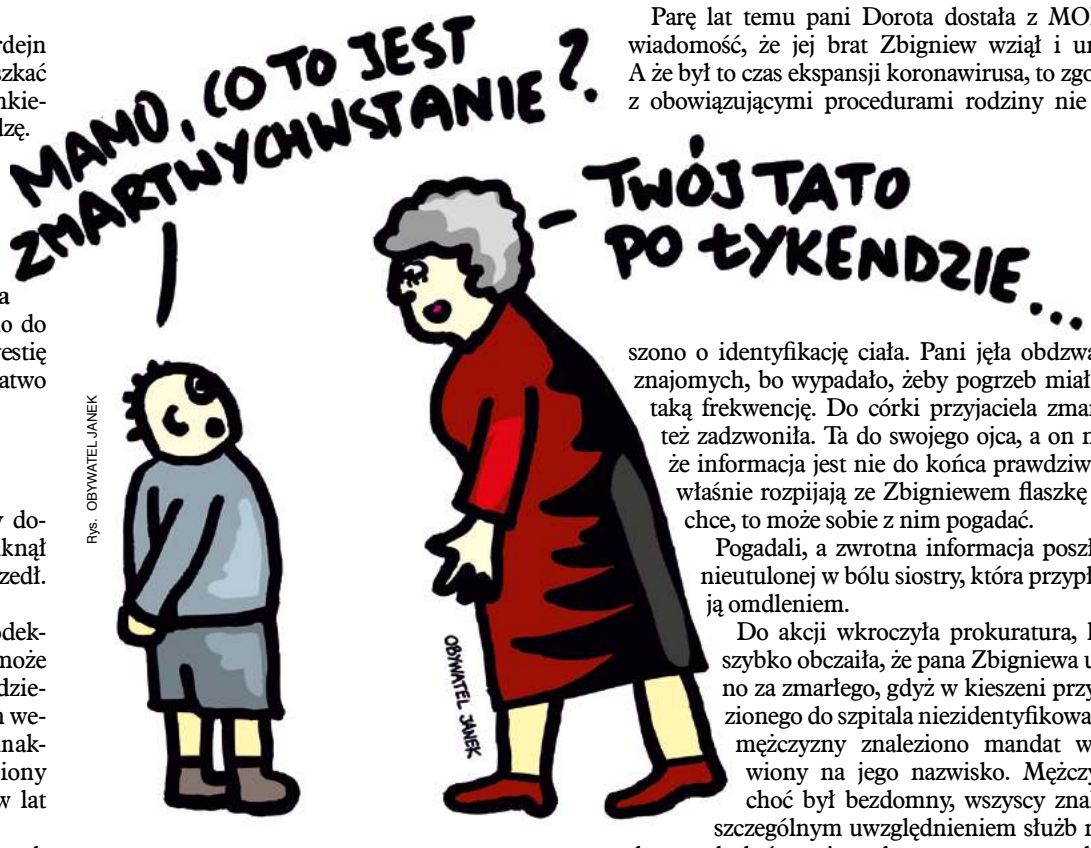

Rys. OBYWATEL JANEK

Wzywa się zmarłego do…

Pan Kazimierz liczył sobie 47 wiosen, gdy doszedł do wniosku, że to wszystko nie tak. Zamknął za sobą drzwi rodzinnego domu i sobie poszedł. Żona została bez męża, a córki bez tatusia.

Po kilku latach skorzystały z fragmentu Kodeksu cywilnego, w którym stało, że „zaginiony może być uznany za zmarłego, jeżeli upłynęło lat dziesięć od końca roku kalendarzowego, w którym według istniejących wiadomości jeszcze żył; jednakże gdyby w chwili uznania za zmarłego zaginiony ukończył lat siedemdziesiąt, wystarcza upływ lat pięciu”.

A że pan Kazimierz nie zdradzał żadnych oznak życia także wobec braci i kuzynów, to familia uznała, że trzeba człowieka uśmiercić na gruncie prawnym. Do sądu poszedł zatem stosowny wniosek. Sąd rozpowszechnił sobie znanymi kanałami informację, w której „wzywa się zaginionego, by w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosił się w Sądzie Rejonowym w Stargardzie, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego”.

Odpowiedzią na wezwanie była cisza. Sądowa kwerenda po takich instytucjach jak ZUS, urzędy skarbowe, baza adresowa PESEL czy inne takie miejsca, gdzie każdy żyjący człowiek zostawia ślady, też nie dały rezultatu. Sąd nie miał zatem żadnego problemu, by uznać, że pan Kazik przestał żyć z końcem kalendarzowego roku, w którym minęło dziesięć lat od czasu, gdy wyszedł z domu.

Status nieboszczyka stanowczo nie pasował do sytuacji pana Kazimierza. Nie tylko bowiem żył, ale nawet pracował. A od czasu do czasu nawet zachodził do lekarza, legitymując się starą, zieloną książeczką dowodu osobistego.

Dobił jednak siedemdziesiątki i państwo, u których mieszkał i pracował, zasugerowali mu, żeby śmignął do ZUS, bo przecież na pewno jakaś emerytura mu się należy.

Pan Kazik poszedł i dowiedział się, że podobnie jak wszystkim innym nieżywym osobom należy mu się pamięć potomnych, ale na pewno nie emerytura. Oprócz tej wiedzy pan Kazimierz wyniósł też z ZUS informację, że sprawę odkręcić może tylko prokuratura.

Ta wzięła się do pracy i uzbierała dowody przemawiające za tym, że pan Kazimierz nie jest martwy. Materiały powędrowały do sądu w Stargardzie i legły na biurku sędzi, która zaniemogła na tyle, że przez wiele miesięcy była na L-4. W końcu rozparcelowano jej zaległości między zdrowych sędziów i sprawa unieważnienia uznania za zmarłego ruszyła z kopyta.

Pod Warszawę, gdzie mieszkał pan Kazik, jęły płynąć wezwania. Odbijały się jednak od furtki i wracały do sądu. Przy trzeciej zwrotce przytomny sędzia zwrócił się do prokuratury z pytaniem, o co chodzi. Prokuratura sprawdziła i wyszło jej, że się rypnęła z adresem. Bo pan Kazimierz mieszkał dwa domy dalej, niż przychodziła poczta.

Czwarte wezwanie z sądu poszło już na właściwy adres. I znowu wróciło. Tak jak i piąte.

W stargardzkim sądzie przestano rozumieć, o co biega. Aż tu przyszedł kolejny wniosek z prokuratury, by uznać pana Kazimierza za żywego, bo potrzebne to szpitalowi, w którym facet leżał od paru miesięcy po udarze. A ponieważ był formalnie nieżywy, to nie można go było wypisać ze szpitala. Po materiale w telewizji sąd w trymiga faceta ożywił.

Co nie ucieszyło córek zmartwychwstałego, obawiających się, że umarły przez ćwierć wieku tatuś będzie teraz cisnął je o alimenty.

Toast z nieboszczykiem

Parę lat temu pani Dorota dostała z MOPS-u wiadomość, że jej brat Zbigniew wziął i umarł. A że był to czas ekspansji koronawirusa, to zgodnie z obowiązującymi procedurami rodziny nie proszono o identyfikację ciała. Pani jęła obdzwaniać znajomych, bo wypadało, żeby pogrzeb miał jaką taką frekwencję. Do córki przyjaciela zmarłego też zadzwoniła. Ta do swojego ojca, a on na to, że informacja jest nie do końca prawdziwa, bo właśnie rozpijają ze Zbigniewem flaszkę i jak chce, to może sobie z nim pogadać.

Pogadali, a zwrotna informacja poszła do nieutulonej w bólu siostry, która przypłaciła ją omdleniem.

Do akcji wkroczyła prokuratura, która szybko obczaiła, że pana Zbigniewa uznano za zmarłego, gdyż w kieszeni przywiezionego do szpitala niezidentyfikowanego mężczyzny znaleziono mandat wystawiony na jego nazwisko. Mężczyznę, choć był bezdomny, wszyscy znali, ze szczególnym uwzględnieniem służb mundurowych, które spisywały go po parę razy dziennie. Podejrzenie pomyłki padło więc na szpital. Ten zrzucał winę na policję, która winna wiedzieć, kogo im przywiozła.

Przepychanki nic nie dawały panu Zbigniewowi, bo akt zgonu nie był wcale łatwy do unieważnienia w czasach, gdy sądownictwo działało na ćwierć gwizdka. „Nie mogę ani wyjechać, ani w jakimkolwiek urzędzie załatwić sprawy” – mógł zatem narzekać pan Zbigniew w mediach przez kilka dobrych miesięcy.

Pan Rafał z Sosnowca, będąc ledwie 40-latkiem, zdążył nie żyć przez ponad pół roku. Mimo, że jego bliscy, lekarze, prokuratura i nawet firma, w której pracował, widzieli, że martwy nie jest.

Porobiło się tak dlatego, że pan Rafał zaniemógł i trafił do szpitala, w którym przyjęto bezdomnego przedstawiającego się tym samym imieniem, nazwiskiem i rokiem urodzenia. Sęk w tym, że bezdomny po podaniu tych danych wyzionął ducha.

Panie od wystawiania kwitów wpisały dane nieboszczyka i komputer wyświetlił im całą resztę. Nie wiedząc, że reszta to był żywy pan Rafał. Na podstawie aktu zgonu szpital i MOPS zrobiły, co do nich należało, i przygotowały pogrzeb. Znaleziono nawet opłacony grób, w którym miał spocząć zmarły. Zamieszczono też w internecie klepsydrę. Ta wpadła w oko znajomej pana Rafała i wywołała w niej chęć złożenia rodzinie telefonicznych kondolencji. Pani szczerze się ucieszyła, gdy telefon odebrał nieboszczyk.

Wiedziony przeczuciem pan Rafał obdzwonił wszystkich za swoją śmierć odpowiedzialnych i w ostatniej chwili zastopował rozkopywanie grobu matki, w którym miał być pochowany. Oprócz tego pobiegł do prokuratury, żeby ta odkręciła sprawę jego zgonu.

Po paru dniach dostał telefon ze swojej firmy. Z informacją, żeby nie spodziewał się kasy za chorobowe, bo ZUS nie chce za niego składek. Ma też po zwolnieniu nie wracać do roboty, bo w związku z tym, że w Polsce nie wolno zatrudniać nieboszczyków, już nie pracuje.

Procedura przywracania pana Rafała do życia trwała siedem miesięcy. W tym czasie, będąc martwy, żył tylko z oszczędności. Pobiegł więc do sądu z roszczeniem 100 tys. zł stosownego zadośćuczynienia. Po paru latach wygrał. Uśmiercenie i zmartwychwstanie pana Rafała sąd wycenił na drobne 25 tys. zł.

Zalany w trupa

Pan Piotr o mało nie udławił się kawą, gdy jego partnerka po odebraniu komórki zakomunikowała mu, że znajomi i rodzina właśnie skrzykują się na jego pogrzeb.

Oczywiście wszystko przez to, że pan Piotr od lat nie rozmawiał z ojcem, ale też i nie wymeldował się z tatusia mieszkania.

I jak do jego ojca zadzwoniono ze szpitala z informacją, że syn zmarł, to tatuś poszedł po kartę zgonu i podreptał z nią do urzędu stanu cywilnego, gdzie dokonał wszystkich czynności prawnych uwieńczonych sporządzeniem aktu wykreślającego pana Piotra z grona obywateli RP.

Pan Piotr się wściekł, bo nie dość, że rodzina na wieść o jego śmierci doznała niejakiej traumy, to jeszcze odkręcanie sprawy zajęło osiem miesięcy, a on popłynął na tym finansowo. Do sądu poszedł więc kwit z pozwaniem szpitala z tytułu ochrony dóbr osobistych wyliczonych na kwotę 100 tys. zł.

Szpital nasuwał się sam, bo to do niego przywieziono z izby wytrzeźwień pacjenta, który gdy na chwilę odzyskał przytomność, powiedział, że nazywa się Piotr Y. Na tej podstawie, w oparciu o wewnętrzny system informatyczny szpitala, mężczyźnie temu przypisano dane osobowe całkiem innego pana Piotra. Gdy pacjent zmarł, wystawiono kartę zgonu, w której wpisano wygrzebane wcześniej dane.

Sprawa przeszła przez dwie instancje sądowe i wszyscy sędziowie orzekali, że doszło do naruszenia dóbr osobistych. Głównie zaś wolności „rozumianej jako wolność dysponowania swoją osobą oraz niezależność i swoboda w podejmowaniu decyzji zgodnie z własną wolą”. No i zdrowia, które wskutek pomyłki się panu Piotrowi pogorszyło. Te niemiłe rzeczy sąd wycenił na 25 tys. zł.

Najzabawniejsze jednak, że aby opisani panowie mogli uzyskać te niewielkie pieniądze, musiał zapaść precedensowy, acz nie bezbolesny werdykt. W sprawie szło o to, że jesienią 2011 r. do jednego z warszawskich szpitali trafił bezdomny przedstawiający się jako A.K. Mężczyzna po kilku tygodniach zmarł, dlatego osobę o takim właśnie nazwisku wykreślono z ewidencji ludności i pochowano.

Po kilku miesiącach pan noszący te miłe każdemu polskiemu patriocie inicjały poszedł do urzędu po dowód osobisty, gdyż staremu skończył się termin przydatności. Dowodu mu nie wydano z tego prostego powodu, że pan A.K. nie żył.

Wyjaśnienie sprawy i unieważnienie aktu zgonu nastąpiło po kilkunastu miesiącach. Pan A.K. pozwał więc władze Warszawy i policję za nienależytą weryfikację danych, przez co przez ponad rok był pozbawiony dokumentu tożsamości i miał utrudniony dostęp do opieki medycznej. Sprawa trafiła na wokandę i wlokła się w pierwszej instancji do 2020 r. Skończyła się tam na tym, że pozew oddalono w całości, bo sędzia uznał, że wszystkie służby i urzędy robiły, co do nich należało, i w niczym procedurom prawnym nie uchybiły. W apelacji sprawę skończono przyznaniem panu A.K. racji i nakazano jego pisemne przeprosiny okraszone załącznikiem w postaci 15 tys. zł zadośćuczynienia od ratusza i warszawskiej policji.

Co i tak jest dla nich mniejszą skazą na honorze niż istniejący do dziś grób z nazwiskiem A.K., w którym nie wiadomo, kto spoczywa.

TADEUSZ JASIŃSKI

W książce „Oświęcim. Czarna zima” Marcin Kącki przypomina o pogromie Romów, jaki miał tam miejsce w roku 1981. Przed falą rozwścieczonych polskich współmieszkańców, oburzonych tym, że Cygan ma więcej niż Polak, Romów uratowało ZOMO.

Które – jak spojrzycie na datę – miało wówczas własne sprawy na głowie. Traumatyzowanym Romom z Oświęcimia władza zaproponowała emigrację na cito, a dokładniej – bilet bez możliwości powrotu. Wielu z tego skorzystało – machnęli się do Szwecji. Kiedy? 13 grudnia 1981 r.

W tym samym reportażu (bo jest to zbiór reportaży o współczesnym Oświęcimiu) Kącki przypomina, że mama Patryka Jakiego jest Romką. Jak się doda dwa do dwóch, to ja bym tak na miejscu Jakiego entuzjastycznie nie szczytowała w Warszawie… Oni chcą nam wmówić, że nasza historia to tylko wstyd. A guzik prawda! Tak, wiem – i żadnego guzika od munduru żaden Polak nigdy nie odda.

A co mi tam: DOBRYCH ŚWIĄT!

IZABELA SZOLC

Rys. JANUARY

eprasa.pl f544429224

Tęgi Bolek

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Był mordercą, krzywoprzysięzcą, gwałcicielem. Teraz będzie wzorcem osobowym dla młodzieży.

Będzie się działo. W centrum Warszawy pojawi się wioska rybacka, a w niej rybacy stylizowani na średniowiecznych. I ryby pewnie też.

Obok rozbiją się staropolskie obozowiska i rzemieślnicze warsztaty. Tkackie, garncarskie, kaletnicze, szklarskie oraz pieczenia podpłomyków. Średniowieczna mała gastronomia. Każdy zwiedzający będzie mógł sobie coś ulepić, wyklepać, odlać. Dla zintelektualizowanych będą lekcje pisania gęsimi piórami i mieszania herbatek ziołowych po piastowsku.

Zapowiadana jest degustacja średniowiecznych potraw. Budzi spory, bo nie zachowały się potrawy ani przepisy kulinarne z tamtych czasów. Skąpe świadectwa sugerują, że dieta ówczesnych chrobrych wojów była roślinna, czyli wegetariańska. Jak menu dzisiejszej lewackiej knajpy.

W międzyczasie wynajęci animatorzy wcielą się w role staropolskich bajarzy. Opowiedzą nam stare dzieje. Zmyślone plus szczyptę prawdziwych.

A wszystko to na pikniku w dniu „Obchodów 1000-lecia koronacji Chrobrego: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość". Już 26 kwietnia tego roku w Warszawie.

Oprócz sektora „przeszłości" będzie tam też „teraźniejszość". Obsłuży ją plac zabaw dla dzieci z nauką robienia latawców. I przede wszystkim pokaz zwiezionego z koszar sprzętu wojskowego. Statyczny, bo na wypasioną defiladę kasy nie ma, choć benzyna staniała. Zagrają za to zespoły muzyczne, odpali się fajerwerki na okolicznych mostach.

Piknikowa „przyszłość" to warsztaty z robotyki, zainscenizowany lot w kosmos, liczne symulatory lotów dronem i rakietą na Marsa.

Przybyłych powalić ma nocny pokaz 1000 dronów czczących 1000-lecie koronacji. Nie będą jedynie bezmyślnie latać. Mają wymalować na polskim niebie logo Solidarności oraz wizerunki bohaterów narodu polskiego.

Takich jak Jan Paweł II, Józef Piłsudski, Maria Curie-Skłodowska, Mikołaj Kopernik. I jeszcze paru innych, jeśli drony zdążą zmalować je przed świtem.

Wszystkie atrakcje będą za darmo. Na koszty obchodów zrzucić się mają spółki skarbu państwa. Za kolejnego propagandowego „Misia" znowu zapłacą polscy podatnicy. Czyli pracujący tu legalnie Ukraińcy, Uzbecy, Hindusi, Niemcy, Białorusini, Syryjczycy, Tadżycy, Żydzi i wielu Polaków też.

Wybierzmy przeszłość

Tegoroczne obchody tego 1000-lecia koronacji króla Bolesława I wpisane są w kampanię wyborów prezydenta RP. Ponieważ sondaże i analizy przewidują, że w drugiej turze

o wyborze prezydenta zadecydować mogą głosy kilku procent ksenofobicznych nieuków i politycznych idiotów, toteż dwaj najbardziej popularni kandydaci aktywnie i gromko zabiegają właśnie o nich. Ufając, że pozostali już przekonani do nich wyborcy zagłosują na nich niezależnie od ich wygłupów.

W boju o poparcie polskich nieuków i idiotów politycznych zdecydowanie lepiej wypada Karol Nawrocki. Jest wtedy naturalny, autentyczny. Gorzej ma Rafał Trzaskowski, który kampanijne chamstwo i mięśniactwo musi udawać. Karol ma cechy politycznego żula, a Rafał salonowego „bonżura". Dziś w mediach, zwłaszcza w internecie, większy poklask budzi taki „bonżul" niż „bonżur".

Wedle badań CBOS-u z lutego 2025 r. sympatię do Niemców odczuwa 33 proc. obywateli polskich. Większość ankietowanych Niemców nie lubi lub ma dla nich wzgardliwą obojętność. Te antyniemieckie nastroje dodatkowo wzmacniają zakompleksione wobec Niemców polskie media i elity polityczne.

Zapewne sztabowcy Nawrockiego postanowili też zagrać też na tej antyniemieckiej nucie. Straszeniu kolejnymi obcymi. Aby zyskać dodatkowe poparcie, wsparli „Marsz Chrobrego". Początkowo miał upamiętnić 1000 lat Królestwa Polskiego i 500-lecie hołdu pruskiego. Potem celem marszu i imprez towarzyszących stała się mobilizacja pro-Nawrockich ksenofobów.

Marsz się udał. Przyjechało 12 kwietnia do Warszawy kilkadziesiąt tysięcy fanów telewizji Republika i PiS. Wielu z nich przebrało się za Polaków Chrobrego, czyli w sarmackie kontusze i rusińskie futrzane czapy. Jakby grali w serialu „1670". Spróbowano rekordowo odtańczyć poloneza. Były biało-czerwone szaliki i wianki na głowę. Wodolejskie przemówienia polityków. Odmieniano słowo „Polska" przez wszystkie przypadki. Panowała atmosfera pikniku po wygranym przez biało-czerwonych meczu.

Skoro pisowcy Nawrockiego sięgnęli po królewskiego, katolickiego i antyniemieckiego Bolka Chrobrego, to sztabowcy Trzaskowskiego postanowili propagandowo „przykryć" marsz Nawrockiego piknikiem Trzaskowskiego. Też ku czci koronacji Bolka Chrobrego. I jeszcze syna jego Mieszka II, bo on też się w 1025 r. na króla polskiego koronował.

W tej koncepcji kandydat Trzaskowski ma się nie tylko Niemiaszkom nie kłaniać. Ma także kultywować ideę ciągłości państwa polskiego, czcić koronację, choć monarchistą nie jest, i koncepcję niekonfliktowego przekazywania władzy. Kiedyś w ramach dynastycznej rodziny Piastów, teraz wiodącej obywatelskiej, proeuropejskiej i demokratycznej siły politycznej.

Pięćdziesiąt twarzy Bolka

Polityka historyczna kreowana przez polskie media i polityków przypomina igraszki małpy z brzytwą w kąpieli. Pozornie to łatwizna, bo Polacy wielce kochają swą historię. Ale nie cierpią jej studiować. Znają z historii tylko to, co lubią i co znać chcą. Dziś wielbią bezkrytycznie Bolesława Chrobrego, bo jego dziejów nie znają.

A szkoda, bo Bolek panował 33 lata. Długo i aktywnie. Dlatego każda opcja polityczna może w jego życiorysie znaleźć coś dla siebie. Służę ściągą.

- Za czasów Bolesława I po raz pierwszy pojawiło się na ziemiach polskich określenie „Polonie". Późniejsza Polska. Najpierw na wybijanych przez niego monetach. Jego denar miał napis „Princes Polonie". I wizerunek pawia, którego patrioci postrzegali jako orła. Zapewne Bolesław Chrobry nie uważał się za „Polana", bo państwo zostało „Polonie" nazwane najpierw przez mnichów z Saksonii. Dzisiejszych Niemiec. I potem to poszło w świat, trafiło stamtąd też do Polski. Tak to Niemcy zostali ojcami chrzestnymi naszej Ojczyzny.
- W 2000 r. Sejm RP obchodził 1000-lecie, ale zjazdu gnieźnieńskiego. W roku 1000 cesarz Otton III „z senatem rzymskim, biskupami i duchowieństwem wybrał się do Sklawonii". Czyli do państwa Bolesława I przybył przywódca ówczesnego katolickiego kolektywnego Zachodu. Zachodu francuskiego, włoskiego i niemieckiego. Otton chciał ponoć stworzyć sojusz katolickich państw i dodać do niego Słowian rządzonych przez Bolesława. Ale umarł już w styczniu 1002 r. Dzięki temu zwolennicy Unii Europejskiej czynią z Ottona jej prekursora. A z Bolesława I pierwszego polskiego władcę, który chciał do europejskiego kołchozu. Z drugiej strony koncepcja Ottona przypominała ideę Europy Ojczyzn, a taką nawet prezes Kaczyński akceptuje.
- W Polsce mówi się, że po śmierci Ottona, porządnego Niemca, jego następca Henryk II cały czas złośliwie napadał na Polskę. W rzeczywistości to Bolesław zwykle był agresorem lub prowokował najazdy. Podczas wojen okrutnie mordował ludność cywilną. Rabował wszystko co mógł. Montował sojusze z udziałem Czechów, Duńczyków, Bawarów, Sasów, Słowian. Zatem wojny 1002–1018 nie były obronnymi wojnami polsko-niemieckimi, lecz starciami dwóch władców i ich międzynarodowych sojuszników.
- Realizując swą politykę, książę Bolesław stale stosował dyplomatyczne metody. Zawierał układy, porozumienia, obiecywał wsparcie wojskowe. Przysiąg często nie dotrzymywał. Miał opinię krzywoprzysięzcy, czyli kłamcy. To jego dziedzictwo przechowali polscy politycy.
- Bolesław I w polskiej mitologii uchodzi za władcę, który skutecznie, bo przymusowo, krzewił wśród poddanych „moralność katolicką". Surowo karać miał za nieprzestrzeganie postów, wielożeństwo, krzywoprzysięstwo. Sam tego nie przestrzegał. Dziś wzorują się na nim prawicowe, katolickie polskie elity polityczne i medialne.
- Bolesław wprowadzał katolicyzm tak forsownie i represyjnie, że jego następca król Mieszko II stracił władzę w efekcie buntu ówczesnych lokalnych przywódców i ludu pragnącego zachować tradycyjne wierzenia. Państwo stworzone przez Bolesława I rozpadło się. Dopiero wnuk Bolesława, książę Kazimierz Odnowiciel, odtworzył je dzięki wsparciu wojsk niemieckich i ruskich. Była to interwencja przypominająca późniejsze wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji w 1968 r. Dzięki niej przyniesiony „na bagnetach" feudalizm i katolicyzm ostatecznie zapanowały w Polsce. Ceną była rezygnacja z korony przez Kazimierza, utrata suwerenności wobec cesarza i papieża.
- Bolesław I zarabiał rabowaniem sąsiadów i sprzedawaniem Słowian, czyli pra-Polaków, w niewolę. Sprzedawał ich na rynki muzułmańskie poprzez żydowskich pośredników. Ale zyskami zawsze się ze swą drużyną dzielił. Teraz to bolesławowe dziedzictwo kontynuowane jest w spółkach skarbu państwa.
- Książę Bolesław I zasłynął też w polskiej mitologii jako zdobywca Kijowa. I gwałciciel ruskiej księżniczki Przedsławy, siostry księcia Jarosława Mądrego. O rękę tej księżniczki Bolesław zabiegał, ale Jarosław mu odmówił. Za taki brak „ukraińskiej wdzięczności" publicznie ją pohańbił, a potem uczynił swą niewolnicą. Za to przez lata był patronem polskich macho. I dostał ksywkę „Chrobry".

Książę kijowski Jarosław przeżył Chrobrego. Wsparł jego wnuka, Kazimierza Odnowiciela Polski, swym wojskiem i dał mu swą wnuczkę za żonę. Dlatego Jarosław zwany jest Mądrym.

W 1966 r. ówczesne władze Polski Ludowej też wyprawiły obchody 1000-lecia, ale Państwa Polskiego. Konkurencyjne wobec 1000-lecia Chrztu Polski organizowanego wtedy przez Kościół katolicki. Efektem tych obchodów były poważne prace historyków poświęcone początkom państwa polskiego.

I przede wszystkim ponad 1000 budynków szkolnych wybudowanych z tej okazji.

Obecne elity polityczne i medialne historyczne rocznice redukują do pikników. Fajerwerków, festynów, światowych rekordów w tańczeniu poloneza.

PIOTR GADZINOWSKI

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

REKLAMA

Prof. Kołodko i prof. Kimla
o Trumpie i USA

Paweł Siergiejczyk
Jak zdradzono Okrągły Stół

Andrzej Sikorski
Ścigany Przemysław Radzik

Krzysztof Varga
Polskie kino traci charakter

tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f544429224

Słodki dramat: od Napoleona do Biedronki

Cukier narzędziem tyranii

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Coś się dzieje?! Cukier na promocjach nadal można kupić w okolicach półtora złotego za kilogram. Cieszy to, rzecz jasna, nasz naród, który – jak wiadomo – najchętniej chciałby wszystko za darmo. Tak go wychował Kaczyński: można mieć przecież 800 plus za nic. Ale to, co cieszy jednych, zapewne martwi 26 tys. polskich plantatorów buraka cukrowego.

Bo jak to jest, że kilogram cukru kosztuje mniej niż butelka wody? Że zgrzewka 10 kg jest tańsza niż paczka papierosów? To ekonomiczny nonsens. Nietrudno sobie wyobrazić, że wyprodukowanie kilograma sacharozy wymaga więcej pracy, potu, krwi i benzyny niż wlanie kranówki do plastikowej butelki.

Kapitalizm nie działa?

Kapitalizm działa. My, wychowani na marksistowsko-chicagowskiej papce, tkwimy jednak w prostych schematach jak mucha w smole. Tymczasem rzeczywistość figluje sobie z nami, modyfikowana przez czynniki niewidzialne. Te niewidzialne ręce mają większy wpływ niż „oczywiste" przyczyny.

Najlepszy przykład? Weźmy tlen. Nie myślimy o nim, nie zauważamy, nie doceniamy. Ale jak go zabraknie – to koniec. Koniec oddychania, koniec cywilizacji. Koniec wszystkiego.

Ta obrazowość była mi potrzebna, żeby uświadomić, jak doniosłą rolę w historii ludzkości odegrał cukier, choć powszechnie nie jest ona ani rozumiana, ani doceniana. Do tych refleksji skłoniły mnie nie tylko dziwnie niskie ceny w Biedronce, ale też artykuł prof. UJ Rafała Hryszki opublikowany w „Zeszytach Naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego", zatytułowany „Cukiernictwo w Polsce w czasach Jadwigi i Władysława Jagiełły między wschodem a zachodem Europy".

Hinduska zemsta na ludzkości?

Otóż – w przeciwieństwie do tlenu – cukier w swojej znanej dziś, krystalicznej postaci wcale nie jest człowiekowi do życia potrzebny. Przez poprzednie 200 tys. lat obywaliśmy się bez niego. Człowiekowi wystarczają bowiem owoce, warzywa, naturalne źródła glukozy. Syntetyczne przyjmowanie sacharozy jest nienaturalne. Prowadzi do zaburzeń organicznych, metabolicznych i psychicznych. Choć – przyznajmy – w czasach, gdy nie potrafiono konserwować świeżych owoców jak dziś, cukier był pewnym ratunkiem. Zwłaszcza zimą, kiedy o truskawki i brzoskwinie było trudniej niż o węgiel.

Cukier – ten zbędny składnik naszej diety – wymyślili Hindusi jakieś 500 lat przed naszą erą. Co w sumie nie dziwi – wymyślili też zero. Czy zero jest ci do czegoś potrzebne? Chcesz – mogę ci dać zero mln zł. Ot, indyjska natura: tworzyć rzeczy z gruntu niepotrzebne.

W każdym razie jogini – ludzie, którzy całe życie spędzali, siedząc pod drzewem z przymkniętymi oczami w pozycji kwiatu lotosu, nie zajmując się niczym pożytecznym – zauważyli, że pszczoły wcale nie są niezbędne. Miód można uzyskać z rośliny zwanej dziś trzciną cukrową. Od tego spostrzeżenia do praktycznego wykorzystania brązowego (częściej szarawego) proszku minęło z grubsza 1000 lat.

Droższy niż krowa

Do Europy cukier dotarł późno. Na ziemiach polskich pierwsze wzmianki o nim pojawiają się dopiero za panowania Jagiellonów. Zanim nastąpił cukier, wszystko – od potraw po alkohol – dosładzano miodem. Ten był też stosunkowo drogi, ale pierwszy cukier był jeszcze droższy.

Wytwarzaniem pierwszych „cukierków" w Polsce zajmował się nie byle kto: królewski aptekarz z Krakowa, Andrzej mu było na imię. Jego produkty trafiały wyłącznie na królewski stół, a cenowo wyglądało to mniej więcej tak:

1 funt cukru kosztował 0,5–1 grzywny, co dziś odpowiada mniej więcej 300–600 zł za pół kilo (czyli 600–1200 zł za kilogram).

Beczka miodu 120 litrów kosztowała 3 grzywny (czyli ok. 13 zł za litr w przeliczeniu na współczesne warunki). Za wartość kilograma cukru można było kupić krowę lub wynająć chłopa do pracy na trzy miesiące.

Warto też napomknąć o soli. W ówczesnym świecie była podstawowym środkiem konserwującym żywność (zamrażarki i lodówki jeszcze się nie przyjęły). Ale nawet sól – mimo że kosztowna – przy cukrze wypadała blado. W różnych epokach cukier był od 100 do 300 razy droższy niż sól. I jak mawiano w średniowieczu, i długo po nim: „Bez soli nie da się żyć, bez cukru – można, ale szkoda".

W średniowieczu cukier powoli stawał się instrumentem politycznym i symbolem społecznego rozwarstwienia. Początkowo był to tylko luksus dla elit, ale jego znaczenie – choć niewidzialne – rosło.

Prawdziwy motor kolonializmu

Epoka wielkich odkryć geograficznych i narodzin kolonializmu jeszcze bardziej podniosła jego rangę. W podręcznikach czytamy, że Europejczycy ruszyli na podbój świata po złoto Inków i Azteków. I owszem – w pierwszej fazie tak było. Ale gdy już wszystko zrabowano, a ceny złota w Europie stały się wręcz uwłaczająco niskie, dalszą ekspansję napędzało coś innego: białe złoto, czyli cukier. Towar, którego wartość nie spadała i który miał jeszcze jedną kluczową zaletę: był zużywalny. A więc stale go brakowało.

W gruncie rzeczy kolonizacja Karaibów i tropików miała jeden cel: uprawę trzciny cukrowej i eksport jej przetworów do metropolii. To z kolei dało początek jednemu z najbardziej ponurych rozdziałów historii ludzkości – niewolnictwu. Popularny mit głosi, że niewolników sprowadzano głównie na plantacje bawełny. W rzeczywistości pierwszym celem był cukier. Potrzebowano taniej, posłusznej siły roboczej do pracy na plantacjach trzciny i w cukrowych rafineriach.

Hipoglikemia na polu bitwy

Cukier zakręcił kołem historii również na początku XIX w., przyczyniając się do klęski samego Napoleona. Pamiętamy blokadę kontynentalną Anglii z 1806. Cesarz chciał odciąć Brytyjczyków od europejskich rynków. Plan ambitny, ale równie lekkomyślny jak atak Putina na Ukrainę. Skutek? Tragiczny – dla Napoleona.

Odcinając Europę od Anglii, Napoleon odciął także swoją armię od kolonialnego cukru. A cukier po raz pierwszy – ale nie ostatni – stał się towarem strategicznym.

Na szczęście 61 lat wcześniej wynaleziono buraka cukrowego. Napoleon wspierał rozwój jego uprawy – jako krajowego źródła cukru. Wydawał dekrety, fundował cukrownie, tworzył agrarne szkoły specjalistyczne. Burak miał „uratować naród od angielskiego monopolu". Stał się więc rośliną narodowej niezależności, symbolem ekonomicznego patriotyzmu Francuzów.

Niestety – czasu zabrakło. Technologia była jeszcze prymitywna. Postęp w rolnictwie szedł zbyt wolno. Dlatego mówi się, że Napoleona nie pokonał Wellington ani nie zawiodły go własne armaty, ale brak cukru. Zdemotywowani, niedocukrzeni żołnierze zmagali się z klasycznymi objawami hipoglikemii, jak zmęczenie, mgła mózgowa, bóle głowy, kłopoty z koncentracją, zaparcia. A z takimi wiarusami – cóż – po zwycięstwo się nie idzie.

Herbata bez cukru: przepis na rewolucję

Przyczyny pierwszej wojny światowej nadal nie zostały jednoznacznie wyjaśnione przez historyków, ale skoro za wszystkim stał imperializm, a ten imperializm wyrósł z cukru – no, nie przesadzajmy. Oczywiście kpię. Trochę powagi.

Natomiast z wielką rewolucją październikową sprawa wygląda już trochę inaczej. Nie jest wcale wykluczone, że gdyby nie cukier – a dokładnie dysproporcje cukrowe i rażące pod tym względem nierówności – car Mikołaj II dożyłby spokojnie starości w Jałcie, a Lenin zostałby w Zurychu degustatorem fondue.

Lenin nie pił wódki ani innych mocnych trunków. I to nie z powodu zdrowia, tylko ideologii. Uważał alkohol za narzędzie degeneracji klasy robotniczej. Był też zagorzałym przeciwnikiem nikotyny. Za to znany był z zamiłowania do miodu, konfitur i herbaty z cukrem.

W Szwajcarii zajadał się czekoladkami – to był jego jedyny „luksus". Podczas długich sesji ideologicznego młócenia popijał herbatę z cytryną i miodem. Ten abstynent klasy premium był w gruncie rzeczy cukrocholikiem, co – według niektórych – przyczyniło się do jego przedwczesnej śmierci. Przyczynę licznych leninowskich udarów mózgu medycyna upatruje w przedawkowaniu sacharozy.

Z drugiej strony mieliśmy Mikołaja – który ze słodyczy korzystał umiarkowanie. Ale nie zapominajmy (o czym car zapomniał), że Rosjanie herbatę piją hektolitrami – i herbatę trzeba czymś posłodzić.

Rok 1917 to reglamentacja cukru w Rosji. Dostawy nie dochodzą, kolej nie działa, cukrownie nie produkują. Lud nie miał cukru. Car – miał dość... lukru. Oderwany od realiów, lekceważył kryzys słodyczowy narodu. Nic dziwnego, że doszło do eksplozji. Sprawca? Taki, którego dotąd nikt nie widział. Hiper- i hipoglikemia. Nadmiar i niedobór sacharozy. Obie są mocarzami ludzkich instynktów, motywacji i determinacji.

Strategiczne znaczenie cukru w III Rzeszy

Potem było międzywojnie (o którym jeszcze nie wiedziano, że było międzywojniem) i wielki kryzys, na którego plecach wyrósł wielki reformator Adolf H., który miał do cukru stosunek ideologiczny.

W latach 30. XX w., w ramach programu autarkii (samowystarczalności gospodarczej), burak cukrowy był promowany jako własny niemiecki surowiec – przeciwwaga dla kolonialnego zażydzonego cukru trzcinowego z Azji, Afryki i Karaibów.

Rolników zachęcano (i zmuszano) do sadzenia buraków cukrowych. W materiałach propagandowych przedstawiano buraki jako produkt niemieckiej ziemi, w duchu *Blut und Boden* („krew i ziemia" – ideologia gloryfikująca rolnictwo i chłopa niemieckiego).

W prasie i radiu wychwalano cukrownictwo jako przykład niemieckiej innowacyjności i siły wewnętrznej gospodarki. Uczniowie uczyli się o „zwycięstwie buraka nad trzciną".

Plakaty i ulotki pokazywały buraka jako bohaterskiego konkurenta kolonialnego cukru.

W prasie fachowej i rolniczych broszurach burak występował jako: *Rübe der Nation* (burak narodowy) oraz *Vaterländische Pflanze* (patriotyczna roślina).

Cukier nabiera strategicznego znaczenia już od pierwszych dni wojny. Staje się towarem reglamentowanym. Pojawiają się nawet dziwne głosy, że rzekomo jeden burak cukrowy jest wart tyle, ile żołnierz na polu walki. Tyle że to nie z powodu braku buraków, tylko braku żołnierzy wojna w końcu jest przez Niemcy przegrywana.

I teraz sięgnijmy po mniej znaną historię. Cukier to była druga (może trzecia) wunderwaffe, zaraz po odrzutowcu Me 262! Karmił Wehrmacht kaloriami, kiedy na schabowego nie starczało. Odcukrowy etanol palił rakiety V-2, które spopielały Londyn. A jak Rumuni zakręcili kurek z ropą, to i do czołgów Niemcy lali przefermentowaną cukrową melasę. Niemiecki cud techniki, choć trochę lepki.

Jak cukier wykoleił PRL

Cukier to biała śmierć Polski Ludowej. Rok 1976, premier Jaroszewicz z miną pokerzysty ogłasza: „Cukier – plus sto procent!". Ludzie dostają cukrzycy, ale nie od słodyczy. W Ursusie ruszają na tory, jak na barykady. Rozkręcają szyny. Lokomotywa w rowie – szach-mat! ZOMO wkracza do akcji, pały w ruch, gaz w oczy. Władza grzmi o „warchołach", a tymczasem rodzi się KOR, jak grzyb po deszczu. Potem kartki na cukier, a PRL – kaput. Słodko-gorzka historia.

Po transformacji ustrojowej wolny rynek przejął polskie cukrownie – wybudowane za kredyty zaciągnięte na Zachodzie za czasów Gierka – przekazując je zachodnim kapitalistom, którzy w dużej mierze je zamknęli.

Pięć łyżeczek do trumny

Ale mamy rok 2025. Realnie człowiek może spożywać dziennie około 25 gramów tzw. wolnych cukrów (czyli cukrów dodanych oraz tych naturalnie występujących w miodzie, syropach i sokach owocowych) bez szkody dla zdrowia. To sugeruje, że globalna produkcja cukru powinna wynosić około 70 mln ton rocznie. Tymczasem jest znacznie wyższa. W sezonie 2023/2024 osiągnęła około 177 mln ton. Zgodnie z zasadami równowagi popytu i podaży wolny rynek powinien to jakoś wyrównać. I wyrównuje się. Tyle że poprzez zwiększenie spożycia cukru do ilości niebezpiecznych dla zdrowia.

Przeciętny Polak spożywa 45,7 kg cukru rocznie, co daje około 125 gramów dziennie – pięciokrotnie więcej niż zalecenia WHO. Cukier jest wszędzie – nawet tam, gdzie teoretycznie być go nie powinno: w chlebie, batonikach „fitness", pasztecie.

Wata cukrowa w mózgu

Dlaczego tak się dzieje? Bo cukier to substancja uzależniająca, a w przeciwieństwie do opiatów – legalna. Działa na te same ośrodki dopaminowe co kokaina. Im więcej jesz – tym bardziej chcesz.

Cukier obniża zdolność do myślenia. Człowiek po trzech drożdżówkach jest mniej odporny na reklamę, propagandę i głupotę. Cukier to najtańsza forma kontroli populacji: dostępny, uzależniający, społecznie akceptowalny. Człowiek zasłodzony to człowiek mniej buntowniczy, mniej skoncentrowany, bardziej podatny na natychmiastową gratyfikację niż planowanie przyszłości. Cukier to narzędzie duszenia oporu. W lukrze!

Diabeł ma cukiernię – a Ty jesteś w niej stałym klientem. Kto jest diabłem? Zapewne ten, kto do tych absurdalnie niskich cen cukru dopłaca. Yhm?! Richard Sugar?! Sugar Ray Leonard?! A może Mark Zuckerberg? Po tym ostatnim to wszystkiego można się spodziewać.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl f544429224

Tbilisi pod potrójnym pręgierzem

Kolektywny Zachód obraził się na Gruzję za Rosję

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świat zachodni najwyraźniej nie lubi Gruzji – a to dlatego, że nie jest ostentacyjnie antyrosyjska, a przecież powinna być. Gruzja jest co prawda jednym z nielicznych państw nieutrzymujących z Rosją stosunków dyplomatycznych – zerwanych po wojnie w 2008 r. – jednak z drugiej strony uprawia z nią handel i ma regularne połączenia lotnicze. A co gorsza, nie przyłączyła się do antyrosyjskich sankcji, bo twierdzi, że byłoby to sprzeczne z jej narodowym interesem. I to wystarczyło, aby wkurzyć Zachód i wpisać ją na wrażą listę.

Z jednej strony Komisja Wenecka

Do boju przeciwko Gruzji wkroczyła Komisja Wenecka, wypowiadając się krytycznie na temat zmian w gruzińskiej ordynacji wyborów do rad miejskich. Zmiany te dotyczą podniesienia progu wyborczego dla partii z 3 proc. (w stolicy z 2,5) do 4 proc. Komisja Wenecka uznała, że zmiany te działają na korzyść rządzącej partii Gruzińskie Marzenie.

Minimalnie podwyższony próg wyborczy może być trudny do przeskoczenia dla niszowych ugrupowań, jednak nie powinien stanowić przeszkody dla mocnych partii opozycyjnych. O ile zechcą wziąć udział w wyborach i po kolejnej porażce głosić ich sfałszowanie.

Zdaniem Komisji Weneckiej lekko zmieniona ordynacja „nie sprzyja rozwojowi politycznego pluralizmu" oraz może naruszyć zasady równości prawa wyborczego – tak jak gdyby podwyższony próg dotyczył jedynie opozycji. Wnioski komisji są o tyle ciekawe, że jeszcze wyższy próg – 5 proc. – obowiązuje przy znacznie ważniejszych niż samorządowe wyborach parlamentarnych w wielu krajach, z Polską włącznie. Komisja wytyka też, że zmiany w ordynacji gruziński parlament przyjął w trybie przyspieszonym na rok przed wyborami samorządowymi, bez publicznych konsultacji ze wszystkimi zainteresowanymi stronami. Można mieć wątpliwości, czy owe zainteresowane strony – w postaci partii opozycyjnych – zechciałyby w takich konsultacjach wziąć udział, skoro pryncypialnie bojkotują wszystko, co kojarzy im się z Gruzińskim Marzeniem.

Opinie Komisji Weneckiej nie są wiążące, więc mają taką samą moc sprawczą jak rady cioci Leokadii – ale przekaz idzie w świat, podsycając jeszcze bardziej antygruzińskie nastroje.

Z drugiej USA

Tak się ciekawie złożyło, że w tym samym dniu, w którym opublikowano oświadczenie komisji, w Tbilisi odbyła się demonstracja poparcia dla MEGOBARI Act – projektu ustawy dotyczącej Gruzji, procedowanego przez amerykański senat. Akronim boleśnie długiego tytułu ustawy – „Mobilizing and Enhancing Georgia's Options for Building Accountability, Resilience, and Independence" (Mobilizowanie i zwiększanie możliwości Gruzji na rzecz budowania odpowiedzialności, odporności i niezależności) – to gruzińskie słowo „megobari": przyjaciel. Entuzjazm demonstrantów wzbudził postulat nałożenia sankcji na funkcjonariuszy Gruzińskiego Marzenia „odpowiedzialnych za odejście od kursu integracji euroatlantyckiej oraz podważających suwerenność i integralność terytorialną Gruzji" – mimo, że nikt z polityków partii rządzącej nie wypowiadał się przeciwko suwerenności ani też nie akceptował oderwania od Gruzji Abchazji i Osetii Południowej. Gruzińskie władze podejmowały natomiast suwerenne decyzje dotyczące choćby stosunków z USA czy Unią Europejską. Autorzy projektu widocznie uważają, że suwerenne mogą być jedynie decyzje zgodne z interesem i polityką Stanów Zjednoczonych.

Sankcje te mają dość symboliczny charakter – obejmują zakaz wjazdu na teren USA oraz korzystania z amerykańskiego systemu bankowego. Oczywiście wszelkie sankcje są z radością przyjmowane przez opozycję, co najkrócej ujęła przewodnicząca partii Lelo, Tina Bokuczawa: „Polityka zaostrzenia sankcji jest ważna dlatego, że jest to jedyne, co może wydobyć nasz kraj z przepaści, w którą wpędził nas reżim Iwaniszwilego". Inaczej mówiąc, opozycja sama przyznaje, że nie ma żadnego pozytywnego programu – co z kolei ustawicznie podkreśla strona rządząca.

Inicjatorami procedowania projektu uchwały są senatorowie: republikanin Jim Risch oraz Jeanne Shaheen z Partii Demokratycznej. Jak widać, nie tylko w Polsce przyjęła się zasada jednomyślności na odcinku polityki zagranicznej. Uczestnicy antyrządowego i proamerykańskiego wiecu nieśli portrety Rischa, Donalda Trumpa oraz republikańskiego kongresmena Joe Wilsona – autora pierwszej wersji tej ustawy, która trafiła pod obrady Kongresu w maju ubiegłego roku; jej procedowanie zostało jednak zawieszone ze względu na wybory parlamentarne w Gruzji. Teraz – niemal rok później – dwójka senatorów wygrzebała ją z szuflady i przedstawiła komisji spraw zagranicznych senatu. Pogratulować refleksu.

27 marca komisja przyjęła projekt, teraz czeka go procedowanie w obu izbach amerykańskiego parlamentu i ewentualny podpis prezydenta. W USA cała ta sprawa nie budzi szczególnego zainteresowania – choć może przy okazji niektórzy dowiedzieli się, że istnieje takie państwo jak Gruzja; po angielsku *Georgia*.

O tym, że wielu Amerykanów nie miało pojęcia o istnieniu Gruzji, świadczy reakcja kibiców olimpiady 1996 r. w Atlancie w stanie Georgia: lokalsi, widząc nazwę kraju na koszulkach gruzińskich zawodników, żarliwie ich dopingowali, sądząc, że to reprezentacja ich stanu.

Gruziński premier Irakli Kobachidze oświadczył ostrożnie, że przywrócenie strategicznego partnerstwa z USA jest jednym z priorytetów jego gabinetu – postulat ten znalazł się w tzw. mapie drogowej rządu – ale wszystko będzie zależeć od postawy obu stron. „Ze strony gruzińskiej jest pełna gotowość" – zadeklarował Kobachidze. MEGOBARI Act również nawołuje do dokonania przeglądu dotychczasowych dwustronnych relacji; jednak sądząc z ogólnego tonu tego dokumentu, intencje stron są zgoła przeciwne.

Widać to w oficjalnym stanowisku Departamentu Stanu. Już na początku kadencji Trumpa wydał on oświadczenie, w którym jest mowa o „kontynuowaniu przez gruziński rząd antydemokratycznych działań", po czym następuje lista kroków, jakie powinno podjąć Tbilisi, aby „zademonstrować swoje poważne podejście do poprawy stosunków z Waszyngtonem", i informacja, że ocena polityki wobec Gruzji będzie dokonywana z punktu widzenia amerykańskich interesów. I na tym polega istota polityki zagranicznej USA.

Z trzeciej Europa

Nie czekając na decyzje USA – które wprowadziły jedynie ograniczenia wizowe wobec 100 obywateli Gruzji – kilka państw europejskich postanowiło wykazać się samodzielnością i na własną rękę obłożyło sankcjami osoby związane z obozem władzy. Szczególną aktywnością popisała się Wielka Brytania, która objęła nimi 145 osób. UK może sobie poszaleć, ponieważ nie musi czekać na decyzje UE. Kraje unijne są ostrożniejsze: Litwa wprowadziła zakaz wstępu dla trzynastu osób, Niemcy zaledwie dla dziewięciu. Bruksela nie może jednak przeforsować sankcji na poziomie unijnym ze względu na opór Węgier i Słowacji.

Na odcinku walki z Gruzją szczególnie aktywny jest europarlament, który w lutym przyjął szóstą już rezolucję w sprawie Gruzji, powtarzając w kółko, że ubiegłoroczne wybory parlamentarne zostały sfałszowane, w związku z czym obecna władza nie posiada żadnej legitymizacji. Na sfałszowanie wyborów żaden z europosłów nie przedstawił konkretnych dowodów; głosujący za antygruzińską rezolucją uznają po prostu, że rację ma opozycja, a nie Centralna Komisja Wyborcza. Tymczasem misja obserwacyjna OBWE w swym raporcie wprawdzie zwraca uwagę na pewne uchybienia, lecz jednocześnie stwierdza, że w 76 proc. monitorowanych lokali wyborczych nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości, a kandydaci mogli swobodnie prowadzić kampanię wyborczą. Europosłowie w brukselskich fotelach wiedzą jednak lepiej niż ci, którzy obserwowali wybory na miejscu. Ponadto PE w swojej rezolucji uznał Salome Zurabiszwili za prawowitego prezydenta Gruzji – mimo iż jej kadencja skończyła się w grudniu zeszłego roku.

Większym rozsądkiem wykazał się sekretarz generalny Rady Europy Alain Berset. Po spotkaniu z Kobachidze powiedział gruzińskim dziennikarzom, że należy nie tylko zachować kontakty z Gruzją, ale też je polepszać i kontynuować aktywną współpracę. Jest to zrozumiałe o tyle, że do Rady Europy należą również państwa niebędące członkami Unii Europejskiej.

Kierunek Wschód

Odpychając od siebie Gruzję, Zachód w sposób niejako naturalny przesuwa ją w kierunku Rosji, a to z kolei pozwala mu oskarżać władze w Tbilisi o to, że są kremlowską agenturą – zgodnie z tym, co nieustannie powtarza gruzińska opozycja.

Zamiar zbliżenia z Rosją przedstawił niedawno premier Kobachidze, który powiedział, że „nawet w warunkach okupacji" (chodzi o oderwane od Gruzji republiki Abchazji i Osetii Południowej) „Gruzja nadal przyjmuje pokojowy i pragmatyczny punkt widzenia" wobec Rosji, i sprecyzował, że jego kraj, „prowadząc intensywną politykę ekonomiczną", utrzymuje z Rosją współpracę handlową. Podobne sygnały płyną też z Moskwy. Jak twierdzi lider gruzińskiej diaspory i jednocześnie członek rosyjskiej prezydenckiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych Dawid Cecchladze, do Rosji przybywa coraz więcej Gruzinów, mieszkających wcześniej w USA i UE. Oficjalnych danych brak, ale w październiku ubiegłego roku na mocy decyzji Putina uproszczona została procedura wizowa wobec obywateli Gruzji.

Do grona przyjaciół Gruzji dołączył ostatnio Alaksandr Łukaszenka, który ogłosił, że na rynek Białorusi trafiają gruzińskie towary, których nie chcą w USA i UE. Zaznaczył też, że wzajemna współpraca między obydwoma państwami trwa już od dłuższego czasu, a „Białoruś wysoko sobie ceni i popiera kroki Gruzji w zakresie utrzymania swojej państwowości i suwerenności".

W poszukiwaniu alternatywy wobec Zachodu Gruzja umacnia kontakty z takimi państwami jak Azerbejdżan i Węgry. Od ubiegłorocznych wyborów parlamentarnych gruziński premier czterokrotnie spotykał się z prezydentem Azerbejdżanu Ilhamem Aliyevem, ten zaś oskarża UE o kolonialne podejście do Gruzji. Azerbejdżan będzie też pierwszym krajem, w którym złoży wizytę nowy prezydent Michail Kawelaszwili. Spotykając się z azerbejdżańskim ambasadorem, podkreślił on „znaczenie utrzymywania stabilności w regionie Kaukazu w obliczu niesłabnących konfliktów i globalnego geopolitycznego napięcia". Słowa te można by odczytać jako pośrednie poparcie dla Azerbejdżanu w jego konflikcie z Armenią o Górski Karabach.

Viktora Orbána premier Kobachidze obłaskawia opowieściami o tym, że strategiczne partnerstwo między obu krajami opiera się na wspólnym kulturowym i chrześcijańskim dziedzictwie. Orbán jest jedynym znaczącym politykiem w Unii Europejskiej, który spotyka się i aktywnie współpracuje z gruzińskim premierem.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

✯ „New York Times" ujawnił stopień zaangażowania CIA w konflikt na Ukrainie: *Każdego ranka oficerowie armii USA i Ukrainy ustalali priorytetowe cele – rosyjskie jednostki, elementy wyposażenia lub infrastrukturę. Oficerowie wywiadu z USA oraz państw sojuszniczych przeszukiwali zdjęcia satelitarne, emisje radiowe i przechwytywali komunikację, aby znaleźć rosyjskie pozycje. Następnie przekazywano Ukraińcom współrzędne, aby mogli do nich strzelać.* (…) *Wywiad zidentyfikował m.in. skład amunicji w Toropcu, 470 km na północ od granicy z Ukrainą. 18 września 2024 r. w cel uderzył rój dronów. Eksplozja wywołała małe trzęsienie ziemi, a w jej wyniku powstał krater o wymiarach boiska piłkarskiego. Później CIA otrzymała pozwolenie na umożliwienie ukraińskich ataków dronów w południowej Rosji.*

✯ Donald Trump poinformował, że winnymi rozpoczęcia wojny na Ukrainie są Joe Biden i Wołodymyr Zełenski. Trump odniósł się także do prośby Zełenskiego o amerykańskie rakiety Patriot: *Słuchaj, jeśli zaczynasz wojnę, musisz wiedzieć, że możesz ją wygrać, prawda? Nie zaczyna się wojny przeciwko komuś 20 razy większemu od ciebie i potem liczy na to, że ludzie dadzą ci trochę rakiet.*

Rys. MARCIN CHUDZIK

✯ Całą niedzielę media rozprawiały nad atakiem rakietowym na ukraińskie miasto Sumy. *Na nagraniach publikowanych przez lokalnych urzędników i ukraińskie media w Telegramie widać silny pożar, który wybuchł na środku jednej z ulic miasta. Według ukraińskiego oddziału BBC w Sumach zaatakowano m.in. Centrum Kongresowe Sumskiego Uniwersytetu Państwowego, w którym często odbywają się zajęcia dla dzieci. – Ta przestrzeń Centrum Kongresowego jest bardzo aktywnie wynajmowana i wykorzystywana, było to takie centrum edukacyjne dla całego miasta – mówili dziennikarzom lokalni mieszkańcy* – doniosła „Gazeta Wyborcza". Redaktorom z Czerskiej musiało umknąć, że akurat tego dnia w sumskim Centrum Kongresowym nie odbywały się zajęcia dla dzieci, lecz ceremonia odznaczania żołnierzy biorących udział w ataku na rosyjski obwód kurski. I to oni byli celem ataku.

✯ Na łamach „Do Rzeczy" Maciej Pieczyński pisze o reaktywacji znanego z czasów PRL Festiwalu Interwizji: *Odnowiona Interwizja odbędzie się we wrześniu w Moskwie. Udział w niej mają wziąć reprezentacje niektórych byłych republik sowieckich, państw Azji, Ameryki Południowej, członków BRICS.* (…) *Organizatorzy konkursu zapewniają, że na Interwizji nie będzie „wynaturzeń i wypaczania natury człowieka", uczestnicy zaś nie będą epatować odmiennością. Z czysto artystycznego (niezależnie od polityki) punktu widzenia rosyjska Eurowizja może być więc o wiele ciekawsza niż ta oryginalna. Paradoksalnie zapewne będzie o wiele bardziej różnorodna. Zamiast zalewu podobnie brzmiącego anglojęzycznego popu, zamiast nudnej (bo przewidywalnej do bólu)* (…) *ideologii, wyrażonej czy to w tekstach, czy to w prowokacyjnej oprawie występów, konkurs zapewne pokaże autentyczne bogactwo kulturowe Azji, Globalnego Południa i Ameryki Łacińskiej, czyli regionów, które nie odcinają się od swoich etnicznych korzeni i nie ulegają europocentrycznej globalizacji.* W festiwalu ma wziąć udział kilkadziesiąt państw z pięciu kontynentów. Tak właśnie wygląda izolacja Rosji na arenie międzynarodowej.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl f544429224

Biedny konsument to też wyborca

Trump po pekińsku

Trwa eskalacja w wojnie handlowej między USA i Chinami. Z listy artykułów objętych nowymi dwustronnymi cłami, ogłoszonymi przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, wyłączono właśnie komputery, smartfony, mikroczipy, twarde dyski, karty pamięci, ogniwa słoneczne i inne szeroko pojęte urządzenia elektroniczne. Lista zapewne będzie się wydłużać, bo każde cło lub zakaz importu dotyczący pojedynczego komponentu może zablokować wiele inwestycji lub niebotycznie wywindować ich koszt. Zanim jednak ktoś na początek wytłumaczy Trumpowi, że infrastrukturę cyfrową należy rozpatrywać w ujęciu holistycznym, a nie wycinkowym, amerykański prezydent rozkręci burdel celny głównie przeciwko własnym wyborcom.

Góra i dół

Prezydent Trump zawiesił na 90 dni ogłoszone wcześniej cła wobec większości krajów i podniósł do 145 proc. cła na towary z Chin. Decyzja o zwolnieniu z opłat wybranych elementów elektroniki zapadła kilka dni po tym, gdy nowe daniny poważnie zagroziły koncernowi Apple.

„Chciałbym tylko podziękować znakomitemu zespołowi ekonomistów Białego Domu, którzy w zaledwie kilka dni odkryli, że USA są zależne od Chin w kwestii smartfonów, komputerów i półprzewodników” – kąśliwie skomentował nerwowe ruchy Trumpa ekonomista Justin Wolfers. Sabrina Malhi z „Washington Post” zwróciła uwagę, że ok. 12 mln ludzi hospitalizowanych rocznie w USA potrzebuje heparyny – a jest to tylko jeden z wielu produkowanych w Chinach leków, na których cenę i dostępność wpłyną zapowiadane przez Trumpa cła.

Sytuacja jest dynamiczna, ale póki co

wygląda na to, że wysokiej wartości artykuły przemysłowe dedykowane średniej i wyższej klasie społecznej wymknęły się spod finansowego ostrza; najbardziej oberwały zaś tanie towary konsumpcyjne dla biedoty.

Trump w ostatnich dniach zasygnalizował, że chce zawrzeć z Chinami porozumienie w sprawach handlowych, ale zaznaczył, że to Pekin musi wykonać pierwszy krok. Mocne słowa po tym, jak wiceprezydent J.D. Vance, broniąc ceł w wywiadzie dla Fox News, powiedział, że Stany Zjednoczone „pożyczają pieniądze od chińskich wieśniaków, aby kupować rzeczy, które ci chińscy wieśniacy produkują”. Tymczasem chińskie władze działają wolno, ale nieomylnie. Pekin nie macha kijem, działa punktowo.

Wiele wskazuje na to, że pomysł na zrywanie zależności od Chin puści Amerykanów w gaciach albo i bez nich.

Made in…

Dominacja Chin w globalnym eksporcie oznacza, że znalezienie alternatywnych producentów nie będzie łatwe. W samych Stanach, jak wiadomo, nie ma fabryk ani rąk do pracy za gówniane stawki. Produkcja plastikowego AGD, zabawek, mikrofalówek, klimatyzatorów czy tekstyliów to dziś system naczyń połączonych z centrum w Chinach. Warto zauważyć, że choć w ostatnich latach udział Chin w rynku tekstylnym USA zmalał na rzecz krajów takich jak Wietnam czy Bangladesz, to wciąż pozostają one największym pojedynczym dostawcą. Wiewiórki donoszą, że rząd Xi naciska gigantów odzieżowej produkcji z własnego podwórka, żeby stopniowo ograniczali eksport do Stanów Zjednoczonych. W efekcie dzięki cłom będzie drogo, a dzięki ruchowi Pekinu na sklepowych półkach zrobi się pusto. Dowalenie dodatkowych kosztów na fatałaszki może spowodować, że klientów czołowych amerykańskich marek jebnie niemałe zdziwko.

Rys. MARCIN CHUDZIK

L.L.Bean – szczycąca się krajową produkcją marka z ponad stuletnią tradycją, kojarzona przede wszystkim z odzieżą outdoorową, wygodnymi kapciami, flanelowymi koszulami i słynnymi butami Bean Boots – nie całą co prawda, lecz wciąż sporą część swojego asortymentu wytwarza w Chinach. Flagowy producent amerykańskiego denimu Levi Strauss ma w ofercie zaledwie kilka modeli odzieży wyprodukowanej od początku do końca w USA. Reszta amerykańskiej marki przechodzi przez ręce szwaczek z Chin, Bangladeszu, Wietnamu i wielu innych krajów. Również w Chinach są produkowane fanty marek Calvin Klein, Abercombie & Fitch czy GAP.

Decyzja Trumpa przejedzie prętem po kratach producentów zabawek. 75 proc. lalek, hulajnóg, trójkołowców i pozostałych gównideł dla milusińskich, importowanych w zeszłym roku do USA, pochodziło z Chin. Matell – producent lalek Barbie i American Girl (sic!), a także samochodzików Hot Wheels – ostrzega, że może wydrenować kieszenie amerykańskich rodziców, aby zrekompensować sobie straty z ceł, bo aż 40 proc. jej asortymentu opiera się na chińskiej produkcji. Chińskie fabryki odpowiadają za całą produkcję drewnianych zabawek, gier i puzzli popularnej w USA marki Melissa & Doug.

Zasmucą się też fani kultowych okularów Ray Ban. Na marginesie – jeśli marzycie o okularach z tą metką wyprodukowanych w USA, musicie szukać wśród zabytkowych egzemplarzy.

Tik-tak, tik-tak…

Może Trump się ocknie, kiedy zabraknie jego ulubionych piłeczek do golfa. Do tego czasu cła, które miały być batem na chiński przemysł, zafundują Stanom najgorszy kryzys konsumpcyjny od lat 70. Jeśli wyborca nie będzie mógł tanio odziać dupska, żeby je potem ochłodzić budżetowym klimatyzatorem albo zabawić wibratorem z dolnej półki – będzie niezadowolony.

Buńczuczny prezydent wydaje się bagatelizować te objawy na rzecz demonstrowania władzy, ale to bomba z opóźnionym zapłonem.

IDALIA DUBICKA

życie W DOBROBYCIE

● Produkt krajowy brutto według definicji to łączna wartość wszystkich dóbr i usług wytworzonych w danym kraju w ciągu roku. Jak taki PKB podzielimy na liczbę osób kraj zamieszkujących, to wyjdzie nam PKB na mieszkańca, czyli per capita. PKB najczęściej podawany jest w dolarach, ale za dolara w jednym kraju nie kupimy nic, a w innym śniadanie. Dlatego wymyślono parytet siły nabywczej uwzględniający różnice w poziomie cen między krajami. Dzięki niemu można porównywać realną siłę nabywczą dochodów w różnych państwach – dobrobyt znaczy. Eurostat porównał i wyszło mu, że krezusi zamieszkują Luksemburg i Irlandię, a najbiedniejsi są Bułgarzy. Na 27 krajów za Polską jest tylko siedem. Luksemburczycy osiągnęli 241 proc. średniego unijnego nabywczego PKB, a Bułgarzy ledwie 66 proc. średniej. Polska z wynikiem 79 proc. średniej unijnej plasuje się między Estonią a Rumunią. Wyprzedzamy jeszcze Chorwację, Węgry, Słowację, Łotwę, Grecję i Bułgarię. Tyle że wyżej niż my w unijnych statystykach są takie tuzy ekonomiczne jak wspomniana już Estonia czy Litwa, Słowenia i Czechy. Niemcy, które uchodzą za kraj ogarnięty klapą gospodarczą, mają wskaźnik na poziomie 115 proc. średniej unijnej.

● Bundesrepublika zawsze uchodziła za gwiazdę ekonomiczną, bo żyła z eksportu. Teraz jednak analitykom coś się porobiło i bycie państwem z gospodarką nastawioną na eksport jest już niefajne. O wiele lepiej postrzegane są kraje o dużym udziale popytu wewnętrznego. A ponieważ według wyliczeń NBP w Polsce od 2026 r. udział popytu krajowego w PKB będzie większy niż udział eksportu, to staniemy się gospodarką kochaną przez analityków ekonomicznych. Na jak długo, nie wiadomo, bo aktualne dezawuowanie eksportu – jak każda moda – może się w każdej chwili odwrócić. Co i tak nie będzie miało najmniejszego wpływu na zawartość naszych portfeli.

● W przeciwieństwie do deficytu sektora instytucji rządowych i samorządowych, czyli kasy, którą władza musi pożyczyć, a spłacać ten dług będą obywatele w podatkach. W 2024 r. deficyt ten wyniósł 6,6 proc. Rok wcześniej był na poziomie 5,3 proc. Zeszłoroczny skok spowodował taki drobiazg jak wydanie na obronność równowartości 4,7 proc. PKB. Widać zatem, że znakomitą większość długu zawdzięczamy nie rozrzutności „reżimu Tuska”, ale ściganemu za zbrodnie wojenne lokatorowi Kremla.

● Żeby jednak nie być nieposądzanym o niepotrzebne wydawanie kasy, rząd umyślił sobie powołać Radę Fiskalną. Ma być niezależną instytucją o charakterze ekspercko-doradczym i zajmować się „opiniowaniem prognoz makroekonomicznych wykorzystywanych na potrzeby opracowania projektu ustawy budżetowej oraz projektu średniookresowego planu budżetowo-strukturalnego oraz opiniowaniem zgodności projektu ustawy budżetowej z krajowymi i unijnymi regułami fiskalnymi”. Na czym ma polegać niezależność rady i od kogo – nie wiadomo. Pewne jest za to, że organ ten będzie robił dokładnie to samo co parę departamentów w Ministerstwie Finansów, dwa piony w NBP, duża część działki ekonomicznej PAN oraz parę struktur finansowanych przez państwo z Polskim Instytutem Ekonomicznym na czele. „Zakłada się, że Biuro Rady Fiskalnej będzie zatrudniało łącznie 15 osób, w tym Dyrektora Biura” – podano w informacji opublikowanej na stronach kancelarii premiera. Dyrektor będzie zarabiał 22,1 tys. zł plus 3 tys. zł dodatku funkcyjnego, a średnie wynagrodzenie pracowników biura wyniesie ponad 10,5 tys. zł. Prawdziwą wisienką w rządowym kwicie o Radzie Fiskalnej jest informacja, że „proponowana liczba etatów wynika z analizy wielkości rad fiskalnych w innych krajach UE”. Jako przykłady wskazano Słowację, Grecję czy Portugalię. Wygląda więc na to, że 15 osobom trzeba dać nikomu niepotrzebną do niczego robotę za niezłą kasę, bo tak mają w innych krajach. Gdyby pójść tokiem takiego rozumowania, to należałoby przywrócić u nas instytucję króla. Bo przecież mają go w takich unijnych państwach jak choćby Dania, Holandia czy Hiszpania.

● Gdyby bowiem przywrócić monarchię, to zniknąłby problem z grupą zawodową najgłośniej narzekającą na emerytury – prezydentami znaczy. Aleksander Kwaśniewski narzeka na kwotę świadczenia, twierdzi, że musi dorabiać. Ostatnio doradza twórcom konstytucji Uzbekistanu. Prowadzi też wykłady w różnych krajach. „Czy jestem zadowolony ze swojej emerytury? Jakbym był, tobym jeździł na grzybki czy rybki, a nadal pracuję, jeżdżąc po świecie” – opowiada mediom Lech Wałęsa. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla wciąż musi dorabiać. Dlatego jeździ po całym świecie i prowadzi wykłady. Bronisław Komorowski dwa lata temu też łkał nad swoją niedolą emeryta: „Zakupy? Robię. Teraz robię zakupy i prawie płaczę”. Andrzej Duda jeszcze nie jest emerytowanym prezydentem, a już narzeka. Opowiada więc dziennikarzom, że na emeryturze „będzie mógł spokojnie pracować”, ponieważ Polska „nie rozpieszcza pod tym względem byłych prezydentów”. Ale może rozpieszcza prezydentową? Agata Kornhauser-Duda liczy sobie 53 wiosny i od 10 lat nie zarabia. Państwo jednak co miesiąc nalicza jej za bycie Pierwszą Damą składki zusowskie, i to liczone od GUS-owskiej średniej, co to teraz wynosi ponad 8600 zł. Poza tym żona Dudy wcześniej pracowała na etacie i składki za nią płynęły. Za kilka lat będzie więc mogła wesprzeć męża finansowo. Duda bowiem, podobnie jak pozostali prezydenci, będzie dostawał emeryturę prezydencką w wysokości 75 proc. świadczenia, które należy się urzędującej głowie państwa. Daje to na dziś kwotę 13 691 zł i 47 gr brutto, czyli na rękę ok. 11 tys. zł. Na tej kwocie koncentrują się media, wykazując, że to są kokosy, bo średnia emerytura mężczyzn w Polsce to teraz 4674,51 zł brutto. Ale przecież prezydenckie świadczenie jest tylko za prezydenturę. Wcześniej panowie też coś robili i zarabiali. Choćby za bycie ministrami czy posłami. Składki za nich płacono, i to niezłe. Z tego tytułu parę tysięcy co miesiąc z ZUS im się należy. Lechowi Wałęsie też, bo przecież był i szefem związku zawodowego, i wieloletnim elektrykiem w stoczni. Ale Wałęsa kasy tej od lat nie dotyka, twierdząc, że „Polska jest za biedna”. A na świadczenie prezydenckie nie jest? Jak widać, emerytowani prezydenci wciąż są politykami, dlatego to, co mówią, należy traktować na równi z gadką każdego innego polityka. Czyli raczej w to nie wierzyć.

● Poza tym pracujący panowie prezydenci nie są wyjątkami. W ciągu ostatnich dziewięciu lat liczba zarabiających emerytów wzrosła o ponad 50 proc. Na koniec zeszłego roku do emerytury dorabiało 870 tys. osób. Średni wiek pracującego emeryta wyniósł 67,5 roku. Dla mężczyzn było to 69,2 roku, dla kobiet – 66,3 roku. Ale nad ich dolą – w przeciwieństwie do biadoleń eksprezydentów – media jakoś się nie pochylają.

TTJ

eprasa.pl f544429224

Tragifarsa ze sfer akademickich

Rys. TOMASZ WIATER

„Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny: są one na kształt prochu zatlonego, co, wystrzeliwszy, gaśnie" – tę mądrość z drugiego aktu „Romea i Julii" Williama Shakespeare'a przeoczył politolog i znawca teatru, dr hab. Daniel Przastek, który niedawno wyleciał z hukiem z Uniwersytetu Warszawskiego.

Może roiło mu się, że będzie postacią rodem z greckiej tragedii, lecz jego oszałamiająca kariera – był dziekanem czołowego w kraju Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych (WNPiSM) UW – zakończyła się niczym tania tragifarsa, w której został, wbrew swej woli, obsadzony w roli czarnego charakteru.

Pozwolę sobie tu na małą prywatę. Raz w życiu miałam kontakt z Przastkiem, który już wtedy zrobił na mnie jak najgorsze wrażenie. Rozkoszował się posiadaną władzą, roztaczał wokół siebie nimb wszechmocnego, niczym rzymski cesarz decydującego ruchem kciuka o życiu lub śmierci podległych mu ludzi. Od znajomych z WNPiSM

(c)Hamlet ze stolycy

dowiedziałam się, że pan dziekan budzi u wielu ludzi strach, bo ma rozległe znajomości i nie waha się z nich korzystać. I cieszy się niczym pięciolatek z balonika, że niektórzy nie nazywali go inaczej niż Daniel „Wszystko Mogę" Przastek.

Szczerze mówiąc, mam wyjebane na wewnętrzne sprawy UW, lecz opowieść o wzlocie niczym Ikar do Słońca i bolesnym upadku tego (c)Hamleta ze stolycy dużo mówi nam o polskiej akademii, jakości rodzimych elit (a chłop zna ważne osoby w tym kraju, choć większość z nich teraz pewnie nie odbiera od niego telefonów) i bezwzględnych stosunkach, jakie panują często w miejscach pracy.

Miłe złego początki

Jak czytamy na stronie internetowej Teatru Wielkiego-Opery Narodowej, Przastek to „stypendysta Polskiej Fundacji Kulturalnej w Buffalo (USA). W pracy zawodowej zajmuje się historią najnowszą Polski i świata, polityką kulturalną i zagadnieniem wolności w sztuce. W kręgu zainteresowań pozostają związki sztuki i polityki, ze szczególnym zwróceniem uwagi na relacje teatru i polityki".

Poza tym akademik to współtwórca studenckiego koła naukowego „Teatr i Polityka", z którym stworzył siedem spektakli teatralnych. Współpracował jako dramaturg przy licznych spektaklach w Warszawie, Łodzi i Wrocławiu. Współtworzył Festiwal Teatrów Studenckich „Start", od 2016 r. był jego dyrektorem artystycznym.

Przastek piął się też szybko – jak na polskie standardy – po szczeblach kariery akademickiej. Był zastępcą dyrektora Instytutu Nauk Politycznych UW ds. naukowych i współpracy z zagranicą, potem prodziekanem WNPiSM ds. finansowych i rozwoju, aż wreszcie ukoronowaniem kariery było objęcie funkcji dziekana. Było to możliwe dzięki niezaprzeczalnemu talentowi organizacyjnemu i umiejętności wyczuwania, skąd wieje wiatr historii, komu trzeba przysłodzić, z kim zażartować, czyje interesy wziąć pod uwagę.

Ale każda moneta ma dwie strony, więc lepiej było z dziekanem nie zadzierać. Prawie zawsze dotyczyło to zależnych od niego, zwłaszcza pracowników administracyjnych. W mediach wielu z nich wypowiadało się, w tym niektórzy pod nazwiskiem, że Przastek wydawał polecenia, które były niemożliwe do spełnienia, a niekiedy nawet nielegalne.

Jak wyjaśniła portalowi Gazeta.pl emerytowana pracowniczka wydziału Bożena Sikorska: „Dziekan żądał ode mnie, żebym spowodowała zamknięcie przewodu doktorskiego jego doktorantki, z którą był skonfliktowany. Powiedziałam, że można to zrobić, jeśli on złoży taki wniosek z uzasadnieniem do Rady Naukowej Dyscyplin. Ewentualnie jeśli poprosi o to sama doktorantka. Daniel Przastek nie chciał załatwiać tego oficjalnie, bo musiałby podać uzasadnienie (gotowa praca doktorska była już w jego posiadaniu). »Może znajdzie pani jakąś furtkę?«. »Musi być jakiś sposób, niech pani coś zrobi!«"…

Ciekawe jest też świadectwo Michała Jareckiego. Poznał on Przastka jeszcze jako student, przez dwa lata był w kole naukowym, któremu przewodniczył ówczesny doktor Daniel. Jego zdaniem Przastek dzieli ludzi na tych, którzy są super, i drugich, którzy są do dupy. Na początku Jarecki należał do pierwszej kategorii, był wyróżniany i chwalony. Ale potem posprzeczał się z doktorem Danielem. I zaczął słyszeć pod swoim adresem: „Jesteś idiotą, że tego nie rozumiesz", „Nawet idiota by to ogarnął", „Zawsze musisz coś spierdolić?", „Czemu wszystko, czego dotykasz, jest do dupy?". Jarecki dowiedział się też, że jest grubasem i że wygląda jak bezdomny.

Bo we mnie jest seks

Przastek okazał się ucieleśnieniem tego, co w postmodernistycznych teoriach określa się mianem fallogocentryzmu, czyli narracji skupionych wobec mężczyzn, zwłaszcza męskiego przyrodzenia. Mówiąc wprost: wierzył, że świat się buja wokół chuja.

Jak powiedziała mediom Sylwia Kucharek, była pracownica sekretariatu dziekana: „Dziekan pytał na przykład, czy komuś z rana »stał namiot«. Innym razem śmiał się z tego, że starsze kobiety mają duże psy po to, by uprawiać z nimi seks. Pamiętam, że raz do mnie podszedł, stanął blisko i zapytał, »czy oglądam pornosy«. To było bardzo niekomfortowe. Sytuacji w podobnym stylu było znacznie więcej".

Kucharek potwierdziła, że Przastek celowo, przechodząc obok Sikorskiej, otarł się o jej piersi. Uznał, że to świetny dowcip, kwitując słowami: „Musimy się poocierać" albo „Przyszedłem się poocierać".

Na ofiarę seksualnego upokarzania dziekan wybrał sobie Macieja Pietrasiaka, który był jego asystentem, a potem dyrektorem administracyjnym wydziału. Często komentował podobno „legendarny" rozmiar penisa Pietrasiaka, choć był po wielokroć proszony, aby tego nie czynił. Miał nawet w obecności trzeciej osoby zaproponować zmęczonemu podwładnemu: „To może lodzik?". Innym razem, donosili świadkowie, dziekan zbliżył się do pochylonego nad komputerem Maciejem i uderzył go w tyłek wyrzutem bioder symulującym seks.

Kiedy w 2019 r. Maciej chciał się zwolnić z pracy, ówczesny prodziekan Przastek wszedł do jego pokoju, miał mu pokazać fiuta, dodając, że „wybujał się na jego chuju". I nie była to jedyna taka sytuacja.

Dziekan miał też nieraz uderzać Macieja – w twarz czy brzuch. Raz przy ludziach spoliczkował go i złapał za krocze, mówiąc: „Bo ci jaja urwę".

Do opinii publicznej ekscesy Przastka dotarły w maju zeszłego roku. „Gazeta Wyborcza" napisała o uderzeniu przez dziekana Macieja, seksualnych aluzjach i upokarzaniu pracownic przez organizację konkursu na najlepszą herbatę. I tu szybko zadziałał mechanizm zamiatania sprawy pod dywan zgodnie z zasadą: „Polacy, nic się nie stało": przy tobie, panie dziekanie, wiernie stoimy i stać będziemy.

Natychmiast pojawił się list poparcia dla Przastka. Pracowników poproszono, aby w ciągu dwóch godzin wyrazili dla dziekana poparcie, pisząc e-maile w trybie „odpowiedz wszystkim". W sumie podpisało się pod apelem 70 osób, których nazwiska upubliczniono. I tu należą się wyrazy uznania dla uczelnianej Solidarności, protestującej przeciwko tej szopce.

Przastek, mimo poważnych oskarżeń, w cuglach wygrał wybory na dziekana. Na UW toczyło się postępowanie w jego sprawie, przesłuchiwano kolejnych ludzi, ale nic z tego nie wynikało. Przyśpieszenie w trybie turbo nadeszło dopiero 24 marca br., gdy Gazeta.pl seksaferę z Przastkiem uczyniła tematem dnia. Nagle okazało się, że coś, co się nie dało przez 10 miesięcy, można rozwiązać w ciągu trzech dni.

Rektor UW prof. Alojzy Nowak powołał komisję rektorską. Jak donosiły media, Przastek nie zgodził się na ustąpienie ze stanowiska dziekana, chwilę potem dostał dyscyplinarkę, co było – jak się spekuluje – pokłosiem stanowczego weta ministra spraw zagranicznych, który nie życzył sobie, aby Przastek brał udział w spotkaniu w WNPiSM, na którym Sikorski miał lada dzień wystąpić.

Uniwersytet złożył zawiadomienie do prokuratury na Przastka. Mowa w nim o podejrzeniu o znęcanie się (art. 207 Kodeksu karnego), a także przestępstwa z art. 199, par. 1: „Kto, przez nadużycie stosunku zależności lub wykorzystanie krytycznego położenia, doprowadza inną osobę do obcowania płciowego lub do poddania się innej czynności seksualnej albo do wykonania takiej czynności, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3".

Innymi słowy, polskie więziennictwo ma szansę zyskać na jakiś czas wybitnego dramaturga, choć – jak pokazuje praktyka – niektórzy osadzeni z art. 199 miewają w pudle więcej seksu, aniżeli sobie kiedykolwiek życzyli…

Przastek w oświadczeniu na swojej stronie internetowej zaprzecza oskarżeniom, zapowiadając pozwy przeciwko wszystkim, którzy go jakoby zniesławili w mediach.

Pycha kroczy przed upadkiem

Warto zastanowić się, idąc śladem podtytułu książki „Globalizacja" Zygmunta Baumana: „i co z tego dla ludzi wynika".

W zasadzie można mieć nadzieję, że sprawiedliwość zatriumfuje i wszyscy pokrzywdzeni w tej sprawie otrzymają zadośćuczynienie. Dobrze byłoby, gdyby pozwali UW, żądając grubego odszkodowania od uczelni, która przyzwalała na takie ekscesy. I przyznała się do tolerowania podłości dopiero w obliczu medialnej burzy, gdy zdesperowani ludzie zaczęli mówić z otwartą przyłbicą, z podawaniem personaliów, co ich miało spotkać ze strony dziekana.

Mam przekonanie graniczące z pewnością, że już teraz dyscyplinarka dla Przastka będzie mieć kojący efekt mrożący. Skoro taki grubszy stołeczny cwaniak z ciągu dosłownie kilkudziesięciu godzin stracił stołek, a nawet etat, niejeden brutal na stanowisku będzie miał przyczynek do namysłu. I dwa razy się zastanowi, czy aby jego kolejny karygodny wybryk jak zwykle ujdzie mu płazem, czy sprawą zajmą się dziennikarze i media społecznościowe, przejeżdżając po nim z siłą walca drogowego.

Nie skupiałabym się tutaj szczególnie na kwestiach seksualnych, które są bardzo widowiskowe, ale można je podciągnąć pod bardziej uniwersalną kategorię, a mianowicie nadużyć władzy. W Polsce relacje na linii przełożony–podwładny to cholerna recydywa folwarku pańszczyźnianego; nie inaczej jest na uczelniach, gdzie dochodzą te wszystkie gronostaje, birety, „panie profesorze" itp. Takie feudalne stosunki, podszyte zakłamaniem i czołobitnością wobec szefów, to wylęgarnia wszelkiej maści patologii.

Systemowym problemem jest, kto garnie się do władzy. Spryciarze, załatwiacze,

czarujący w kontaktach z równymi sobie, wręcz uniżeni wobec tych, co są wyżej, z buta traktujących tych, co pod nimi. Oczywiście nie każdy z nich daje podwładnemu po pysku, a tym bardziej pokazuje mu kutasa, lecz wszyscy wiedzą, że mogą kogoś zniszczyć,

i to w białych rękawiczkach. Potrafią danej osobie tak uprzykrzyć życie metodami formalnymi i nieformalnymi naciskami, że ta sama odejdzie, i to najszybciej, jak tylko zdoła. Pozostają bierni, mierni, wierni – niczym gończe charty rzucający się w pogoń za tym, na kogo poszczuje ich pan. A pan, wiadomo, ma też narzędzia, aby za lojalną służbę nagrodzić – a to pogłaskaniem, a to publiczną forsą.

Wątek często pojawiający się w komentarzach do skandalu na UW – że czasy się zmieniły i dziś już profesorowi nie wolno wszystkiego – brzmi nie do końca przekonująco. W tym sensie, że jasne zawsze było, że pewnych granic się nie przekracza. Być może im wyżej w hierarchii, tym dalej te granice są wytyczone, lecz jednak z pewnością istnieją – chyba że jest się rektorem Collegium Humanum, ale nawet i do niego się dobrali.

Publiczne uniwersytety, zwłaszcza wiodący UW, powinny wyznaczać złote standardy w sferze nauki i dydaktyki. Jak na razie stają się pośmiewiskiem; mniej znaczy to, co kto robi (choćby były to najgorsze kurewstwa), a bardziej – czy to nie wypłynie. Aby oczyścić stajnię Augiasza, jaką stał się WNPiSM, potrzeba by co najmniej Herkulesa.

Jak znamy relacje panujące na uczelniach – szczególnie prestiżowych – najbardziej prawdopodobne jest, że układ wydziałowy postara się wyciszyć sprawę, przejść nad nią do porządku dziennego, rżnąć głupa, że przecież winny został ukarany. To najgorszy możliwy scenariusz, scenariusz tragifarsy.

Wszystkim, którzy jak bohater tego tekstu, upajają się władzą, testując jej granice, polecam słowa z „Króla Leara": „Kto lepsze goni, często w gorsze wpadnie".

KATARZYNA KOENIG

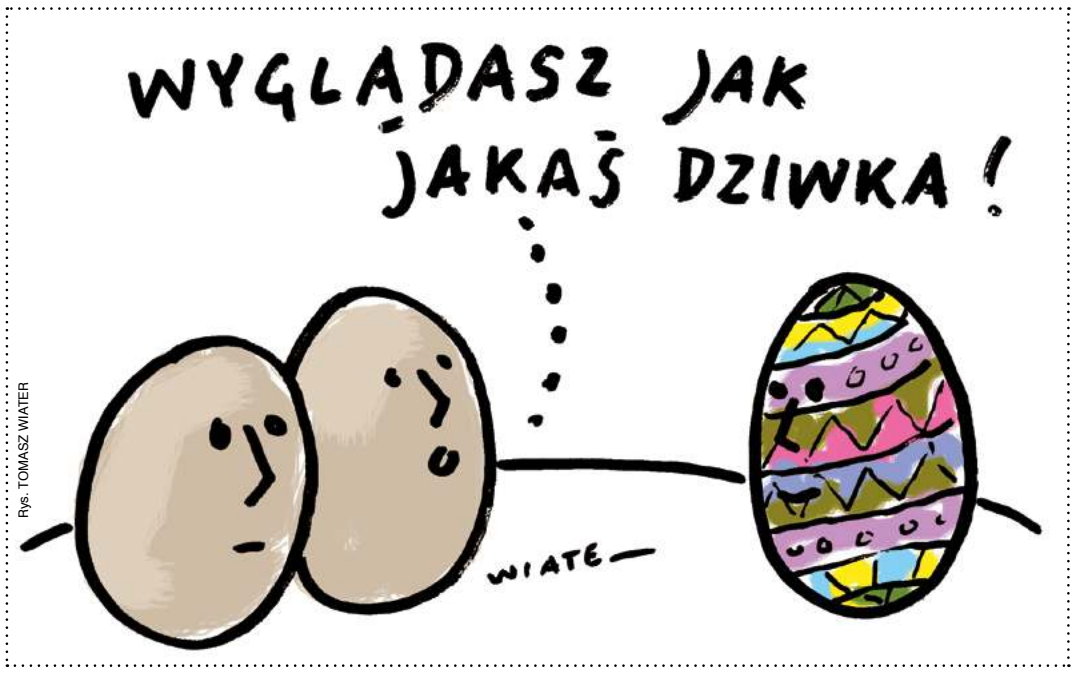

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl f544429224

Naziole i kibole

Sportowy głos w debacie politycznej

Pamiętamy, jak za pierwszego rządu Tuska kibice wołali: „Donald, matole, twój rząd obalą kibole!”. Nie obalili. Minister Bartłomiej Sienkiewicz zagroził kibicom: „Idziemy po was!”. Nie doszli. Stadionowe trybuny od dawna były nacjonalistyczno-prawicowe, a badania wskazywały, że największą popularnością cieszyła się na nich Konfederacja. I to jeszcze w czasach, gdy Sławomir Mentzen dopiero uczył się jeździć hulajnogą.

Zakaz pedałowania czy zakaz skrętu w lewo to najczęściej widywane hasła na stadionach. Od tego czasu niewiele się zmieniło. A jeśli tak – to na gorsze.

Przyjemność zabijania

Gdy w telewizji informują o rozbiciu przez policję zorganizowanej grupy przestępczej trudniącej się handlem narkotykami, rutyną stało się, że grupa ta powiązana jest ze środowiskiem kibiców jednego z klubów piłkarskich. Ciekawe, dlaczego zawsze mowa jest o jednym z klubów, a nie wymienia się jego nazwy. Nie wiem.

Marcina Możdżonka z przyjemnością oglądałem, gdy grał w siatkówkę; był w tym naprawdę dobry. Teraz, jako prezes Naczelnej Rady Łowieckiej i radny z Olsztyna, deklaruje się jako zwolennik Sławomira Mentzena. Nie wiem jak dla Czytelników, dla mnie gość, który czerpie przyjemność ze strzelania do zwierząt w lasach, nie może być fajny. Zaznaczę od razu, że nie jestem wegetarianinem, wcinam wieprzowinę i wołowinę, zwłaszcza w ostrym sosie. Wiem, że zwierzęta musiały stracić życie, często w męczarniach, żeby na moim talerzu pojawiło się pieczyste. Wcale się z tego nie cieszę. Sarna, którą zastrzelił pan łowczy Możdżonek, przynajmniej trochę pobiegała sobie po lesie, w odróżnieniu od świni, bo ona słońce zobaczyła tylko raz – gdy wieźli ją do rzeźni. Ale łączenie zabijania z odczuwaniem z tego przyjemności jakoś mi nie pasuje. Dziczyzny nie jem od dziecka, na starość coraz częściej myślę o wegetarianizmie.

Polski Związek Piłki Siatkowej na oświadczenie Możdżonka zareagował niemal natychmiast, wydając swoje oświadczenie, w którym podkreślono, że obywatel ten nie pełni żadnych funkcji w PZPS, a związek zaleca swoim członkom, aby z daleka trzymali się od polityki.

Głos w prezydenckiej kampanii wyborczej zabrali kibice Legii podczas niedawnego meczu z Chelsea Londyn. Transparent, który wywiesili, teoretycznie nie wspierał żadnego kandydata, napisano na nim: „Byle nie Trzaskowski!”. Jeśli nie Trzaskowski, to – wiadomo – Mentzen, a w najgorszym razie Nawrocki. Taki jest głos większości kibiców.

Politykę ze sportem mieszali już starożytni Grecy, którzy ponoć na powitanie mistrza olimpijskiego burzyli fragment murów obronnych swojego miasta, żeby pokazać rywalizującym miastom, że nie muszą się nikogo bać. A niech im, naukowcy nie są do końca zgodni, czy tak rzeczywiście było, pewne jest natomiast, że dzisiaj sport i polityka splecione są ze sobą bardziej niż zapaśnicy na macie.

Piesiewicz kontra Nitras

Tradycyjnego Pikniku Olimpijskiego w Warszawie nie będzie, po raz pierwszy od ćwierćwiecza. Prezes PKOl Radosław Piesiewicz przeniósł go do Lublina (ew. do Janowa Lubelskiego). Cóż, w Warszawie Piesiewicz musiałby dzielić honory gospodarza z Rafałem Trzaskowskim. Pan Piesiewicz, który trzyma się stanowiska sternika polskiego olimpizmu bardziej zajadle niż foksterier nogawki listonosza, chce zwrócić dług marszałkowi województwa lubelskiego, politykowi PiS Jarosławowi Stawiarskiemu. W finansowej potrzebie, gdy minister Sławomir Nitras odciął PKOl od państwowej dotacji, Stawiarski wsparł swojego kolegę sumą 4,3 mln zł za zaledwie kilkumiesięczną współpracę.

Wojna między rządem Donalda Tuska a PKOl trwa. Piesiewicz na pewno nie zamierza, wzorem starożytnych Greków, burzyć fragmentu murów obronnych. Jestem oczywiście po stronie rządu, pan Piesiewicz to wyjątkowo mętna postać. Przyjaciel pisowskiego ministra Jacka Sasina paskudnie zachowywał się jako prezes związku koszykówki (kilkakrotnie o tym pisałem), później jako głowa olimpizmu tylko pogłębiał niechęć do siebie. Pamiętamy, że próbował nawet wciągnąć prezydenta Andrzeja Dudę do międzynarodowego komitetu kosztem naszej utytułowanej i doświadczonej byłej mistrzyni w kolarstwie górskim Mai Włoszczowskiej. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że wszystko to szkodzi polskiemu sportowi wyczynowemu, podobnie jak wojna PO z PiS krajowi.

Powtórzę to, co pisałem już kiedyś. Trochę się dziwię, że premier Donald Tusk postawił na stanowisku ministra sportu i turystyki Sławomira Nitrasa. Rzutki organizator campusów Rafała Trzaskowskiego jest w sporcie ciałem obcym. Musi popełniać błędy i je popełnia. A przecież Tusk ma pod ręką posłankę PO Małgorzatę Niemczyk, zasłużoną reprezentantkę Polski w siatkówce, sprawdzoną działaczkę nie tylko sportową, ale i samorządową. Coś czuję, że ona sprawniej poruszałaby się w terenie i może nie zlikwidowała, ale przynajmniej złagodziła wrogość walczących obozów.

Fakt, że Małgorzata Niemczyk jest córką zmarłego dziewięć lat temu trenera naszych „Złotek”, nie ma tu nic do rzeczy. Umówmy się, że ani winy, ani zasługi rodziców nie mogą wpływać na ocenę ich dzieci.

Zamieszki klubowe

Trzeba wrócić do kibiców, czy może raczej kiboli, lub – jak kto woli – pseudokibiców. Dokładnie w tym czasie, gdy pisałem te słowa, nadeszła informacja o bandyckim napadzie zamaskowanych pseudokibiców Dębu Dębno na stadion Korony Stuchowo, rozgrywającej mecz okręgowej ligi zachodniopomorskiej z Sarmatą Dobra. Pobito zawodników, porwano klubową flagę i napastnicy oddalili się samochodami, zanim zdążyły przybyć na miejsce służby.

– Były to zamieszki klubowe – wyjaśniła mł. asp. Katarzyna Jasion, oficer prasowa Komendy Powiatowej Policji w Kamieniu Pomorskim. Nie trzeba być aż oficerem prasowym, żeby dokonać takiego odkrycia. Przyzwyczailiśmy się, że do skandalicznych zachowań pseudokibiców dochodzi w najważniejszych, centralnych ligach. Chuligańskie ataki w rozgrywkach regionalnych obchodzą nas tyle, co wyniki uzyskiwane tam na stadionach. Śledzą je tylko najbardziej zainteresowani, sportowa Polska – w ogóle.

Rys. WIDGET

Ponieważ z obowiązku obserwuję podobne fakty, mógłbym ich przytoczyć wiele. W styczniu Prokuratura Rejonowa w Miliczu skierowała do sądu akt oskarżenia przeciw 37 osobom. To pokłosie wydarzeń z kwietnia 2022 r., gdy w piłkarskiej IV lidze dolnośląskiej grały ze sobą jedenastki Baryczy Sułów i Polonii Stali Świdnica. Nie rozegrano nawet pierwszej połowy. Rozpoczęła się bójka. Co takiego się działo? Akt oskarżenia wymienia: bicie, kopanie, rzucanie różnymi przedmiotami, co stwarzało zagrożenie dla postronnych osób. Zniszczone mienie wyceniono na 20 tys. zł.

W akcie oskarżenia nie przeczytałem o hospitalizacjach poszkodowanych; może ich nie było, a może czytałem nieuważnie. Podczas meczu V ligi między Stoczniowcem Gdańsk a Sokołem Bożepole Wielkie doszło do bójki na trybunach, w wyniku której do szpitala trafiły dwie osoby. Byli to chłopcy, jeden 9-letni, a drugi 14-letni, niepełnosprawny. Bić niepełnosprawnego dzieciaka – oto jest właściwe zajęcie dla lokalnych patriotów. Idea małych ojczyzn może być piękna, ale może być też groźna.

O kulturze piłkarskich trybun świadczy fakt sprzed paru dni. Zmarł holenderski trener Leo Beenhakker, człowiek, który sprowadził do Polski nowoczesny europejski futbol. Po raz pierwszy w historii awansował z naszą reprezentacją do finałów mistrzostw Europy. Już nawet nie wspomnę, że to wyjątkowo życzliwy człowiek, do końca dni wspominający z nostalgią okres pracy w Polsce.

PZPN postanowił, że na trzech najwyższych poziomach ligowych

każdy mecz minionej kolejki rozpoczynać będzie minuta ciszy poświęcona zmarłemu trenerowi. Na stadionie Cracovii zamiast minuty ciszy była minuta gwizdów i buczenia. Co wam, debile, złego zrobił zmarły Leo Beenhakker?

Żużel świeci przykładem

Od lat jestem wielkim kibicem żużla i cieszę się, że rozpoczął się już nowy sezon Ekstraligi. Walka pędzących motocyklistów może porywać. Imponują mi nie tylko rajderzy. Żużel ma wspaniałą publiczność. Na wypełnione zazwyczaj stadiony przychodzą całe rodziny: dziadkowie, rodzice i ich – często maleńkie – dzieci. Jest to publiczność znająca się na żużlu (no, może z wyjątkiem dzieciaków, które z dźwiękochłonnymi nausznikami dopiero uczą się czarnego sportu), sprawiedliwa, wspierająca swoich, ale nieponiżająca przyjezdnych. Czasem i tu zdarzają się incydenty, ale raczej niegroźne. Pamiętam, że po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę wygwizdywano Gleba Czugunowa, bo choć posiadał nasze obywatelstwo, nadal niektórzy uznawali go za „ruskiego”. Regułą jest jednak, że gdy po kraksie z toru podnosi się żużlowiec rywali, słyszy głośne oklaski.

Jedyny poważniejszy incydent, jaki zapamiętałem, miał miejsce podczas minionego sezonu w trakcie półfinałowego meczu miedzy Stalą Gorzów a Spartą Wrocław. Doszło do potężnej bójki miejscowych kibiców z ochroniarzami. Tym razem nie chodziło o antagonizm między zwaśnionymi klubami. W sieci pokazano filmik, na którym widać, jak rozrośnięci w barach ochroniarze szarpią dwie kobiety, które zbierały pieniądze na jakiś charytatywny cel. W obronie ich honoru ruszyli kibice, zwłaszcza z „Kotła”, czyli sektora najbardziej i najgłośniej wspierającego swoich.

W ruch poszły pięści, interweniowała wezwana policja. Kogoś wylegitymowano, kogoś zatrzymano. Bójka to nic godnego pochwały. Głupio siebie stawiać za wzór, ale jako młodzieniec chyba ani razu poważnie się nie pobiłem, agresję wyładowywałem na boisku do piłki ręcznej, a tam bywałem chuliganem. Nie wiem, jak Czytelnicy, ale jakoś nie bardzo oburzyłem się na ten żużlowy incydent, mimo że bójka to bójka. Obyśmy mieli tylko takie.

Małpki patriotyczne

Lokalny patriotyzm, gładko przechodzący w coś w rodzaju ślepego nacjonalizmu, nienawiści do obcych, wsparty wybujałym ego miejscowych działaczy i małpkami kupowanymi na stacjach benzynowych, stanowią wręcz wymarzoną glebę do wyrastania stadionowego bandytyzmu. Zwolennicy Konfederacji i Grzegorza Brauna, kupujący w ciemno serwowane im proste rozwiązania, gotowi są do ataku na wszystko, na co poszczują ich przywódcy. Czy tacy ludzie powinni rządzić Rzeczpospolitą, lub choćby w mniejszości wchodzić do różnych organów państwa? Nie dajmy im na to szans. Kibole i kibolopodobni, a jest ich naprawdę wielu, rzeczywiście gotowi są obalić rząd. Nie sami oczywiście. Z różnych przyczyn dołączają do nich normalni – chciałoby się powiedzieć – młodzi ludzie, nieinteresujący się sportem ani nienależący do żadnych zorganizowanych grup przestępczych. Jedynym na to lekarstwem jest kartka wyborcza. W to, że uda się ich oświecić dzięki zmianom w szkolnych programach nauczania, zwyczajnie nie wierzę.

I na koniec. Za naszą granicą giną od bomb i dronów ludzie. W Palestynie pod ziemią trzymają izraelskich zakładników, a na powierzchni Izraelczycy mordują dzieci. W Ameryce rządzi ekscentryczny starzec, który w zależności od tego, którą nogą wstanie z łóżka, zmienia swoje decyzje. W Afryce ludzie umierają z głodu. U nas trwają natomiast debaty o kampanijnych debatach, a w sejmie duży i mały kłócą się na mównicy, kto jest sadystą, a kto komu powinien mówić wujku. Obrzydliwe. Może naprawdę lepiej patrzeć na sport? Ale tam znowu są na trybunach ci cholerni kibice…

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 16.04.2025 r.

eprasa.pl f544429224

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

„Gdzie jest Maciak?” – draft scenariusza pełnometrażowego filmu animowanego

Maciak jest wesołą rybką z rafy koralowej. Kumpluje się z planktonem, ale podziwia rekina Putina, dla którego gotów byłby porzucić kolegów i rodzinę. W jego morderczych oczach chciałby się pogrążyć na wieki.

Stworzenia morskie umawiają się na spotkanie w zatoce Konika Morskiego, gdzie mają podyskutować o polityce. Z grubych ryb przybywają obydwie, Rafał i Karol, reszta to plankton, no, może z wyjątkiem Szymona Homarni. Oraz Maciaka, którego przywodzi przypadkowy prąd oceaniczny. Brakuje głowomłota pospolitego Męcena oraz morświna Zandberga. Swoje spotkanie zwierzaki nazywają gębatą.

W gębacie błyszczy Homarnia – rozwinąłby ogon jak paw, gdyby miał pióra. Świetnie radzą sobie foczki, Aśka i Madzia, Madzia lepiej, bo fika koziołka. Niespodzianką jest zachowanie Rafała. Wygląda, jakby się zaplątał w sieć. Daje się zrobić w pławikonika Karolowi, który wtyka mu w płetwę tęczową banderę. Zaraz potem Madzia fika koziołka.

Maciak wypada jak to Maciak: bulgocze o miłości do Putina i że szkoda kasy na łodzie podwodne.

Fauna morska uznaje gębatę za sukces, nic więc dziwnego, że stworzenia umawiają się na kolejne spotkanie, jebatę, która ma się odbyć na wrakowisku Republika.

Karol czuje się tu jak w domu, na wrakowisko nie przypływa za to Rafał, który najwidoczniej liże rany po pogromie w zatoce Konika Morskiego. Madzia zapowiada, że na jebatę do Republiki nie dopłynie, bo ten akwen jej nie służy. Tym razem pojawiają się Męcen i Zandberg. Jeden jest tępy, jeden ostry, ale nie aż tak jak ryba piła (Pristis pristis). Zjawia się Braun – genetyczna krzyżówka blobfisha z rybą fugu. Oddaje hołd Posejdonowi, a potem nie ustaje w atakach na ukraińskie sardele i karpie na słodko, czyli po żydowsku.

Stanowski, remora z podnawkowatych, drży przyssany do Karola, który rusza ogonem zadowolony. Stanowski udaje, że prawi Karolowi dusery, a Karol łyka je jak pelikan dotknięty zespołem Downa. Jakubiak, też podnawka, gdyby mógł, to wpłynąłby Karolowi pod płetwę odbytową i tam zrobiłby mu loda o smaku nori.

Z zooplanktonu na wrakowisku są: jeden meduzowaty i jeden mikroskorupiak. Nigdzie jednak nie ma Maciaka. Co się stało?

Gdzie jest Maciak?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN trenduje w necie. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** podstawia nogę do kucia.

Wołk-Łaniewska: – Widzisz, że miałam rację?

Senyszyn: – Ależ oczywiście! Jak zawsze! A w jakiej sprawie?

– Że musisz jednak pojechać do Końskich. Choć to oznaczało, że nie przybędziesz na LIII-lecie Ludowego Wołka Polskiego.

– Patriotycznie powiedziane, ale ty jesteś Wołk Łaniewski.

– Ale polski niewątpliwie. Choć wolałbym być czeski. Wracając do tematu: ja wiem, że ty do mnie dzwoniłaś tylko po to, żebym to ja ci powiedziała, że musisz jechać do Końskich, żebym nie strzeliła focha, że nie przyjdziesz do mnie…

– Strasznie przenikliwa jesteś…

– Tak czy inaczej, pojechanie do Końskich było słuszne. Bardzo żałowałam, że nie mogłam z tobą pojechać, ale zaprosiłam parę osób poza tobą, w tym mamusię, więc sama rozumiesz… Opowiadaj, jak było. Plotki z zaplecza proszę.

– Żal mi było Trzaskowskiego…

– Tak, zauważyłam, że nawet opierdoliłaś Biejat w socjalach, że mu zabrała tęczową flagę i jeszcze nóż przekręciła w plecach, mówiąc, że ona się tęczy nie wstydzi…

– Uważam, że nie należało podbijać tego niefortunnego incydentu, bo niedopuszczenie do prezydentury Nawrockiego jest ważniejsze niż lansowanie się na błędzie demokratycznego koalicjanta.

– W tej akurat sprawie mam wątpliwości, bo patrząc na działania tego rządu obawiam się poważnie, że z premierem Tuskiem i prezydentem Trzaskowskim PiS wróci do władzy w podskokach za dwa lata…

– No i właśnie na ten czas lepiej mieć prezydenta Trzaskowskiego niż prezydenta Nawrockiego…

– Ja tam wolę prezydencicę Senyszyn.

– I słusznie. Ale wracając do żałowania Trzaskowskiego: on się znalazł w potrzasku. Miał w podskokach wygrać i zdjąć końską klątwę 2020 r. Był bardzo zdenerwowany przed debatą. Nawet trudno się dziwić. To sztab doprowadził do sytuacji, w której Rafał nie mógł debaty wygrać, bo nie miał dostatecznego wsparcia ze strony swoich. W najlepszym razie mógł nie przegrać, więc się denerwował, chodził po sali wte i wewte i nie miał przy sobie nikogo ze sztabu, kto by go podtrzymywał na duchu czy za rękę i powiedział: Jest dobrze, wygramy!

– No wiesz, jak on planował debatować sam ze sobą, to trudno się dziwić, że zmiana sytuacji go zaniepokoiła. A skoro już jesteśmy przy kuchni debatowej: o co chodziło Braunowi, kiedy mówił, że zabronili się wam przywitać? To w Republice było, dodam, bo mogą ci się już te debaty zajączkować…

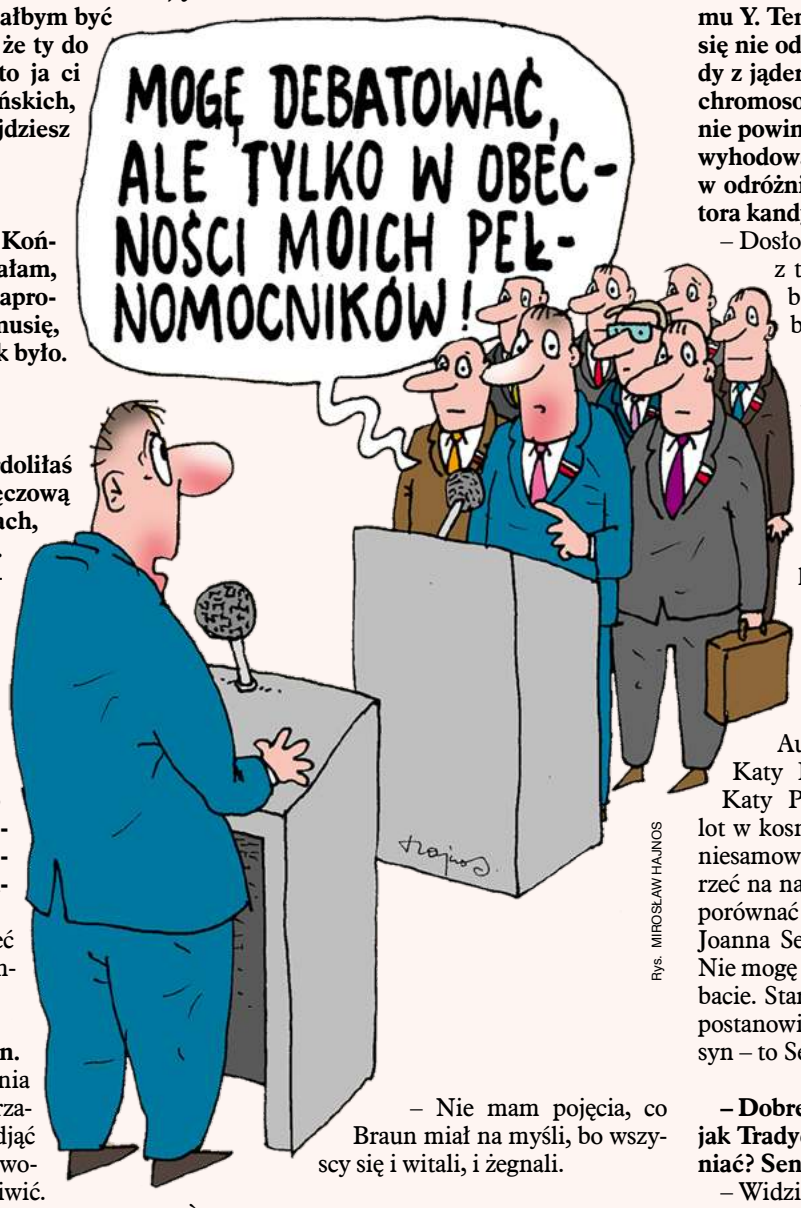

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

– Nie mam pojęcia, co Braun miał na myśli, bo wszyscy się i witali, i żegnali.

– À propos Republiki: po prostu kocham cię za powiedzenie, że są „oczywiście” więcej niż dwie płcie. Zauważyłaś, jak nikt poza tobą nie chciał tego powiedzieć? W tym Zandberg, który wybrnął z tematu metodą opieprzenia Mentzena – co zawsze jest zasadne, ale w tym przypadku było jednak niejakim unikiem…

– Zjawisko obojnactwa występuje ze szczególną siłą u polityków i polega na byciu za, a nawet przeciw.

– To ci jeszcze opowiem – wiem, bo czytałam sporo na ten temat, po tym jak Nawrocki pierdolnął o puciach – że istnieje takie coś, jak gen SRY, zlokalizowany na krótkim ramieniu chromosomu Y. Ten gen w zasadzie robi jądra. Ale czasem się nie odzywa – znaczy pozostaje niemy – i wtedy z jąder nici. A czasem się zdarza, że trafia na chromosom X i tam się odzywa, choć w zasadzie nie powinien, w wyniku czego kobita może sobie wyhodować jaja. Dosłowne, niemetaforyczne – w odróżnieniu od ciebie, żeby zacytować redaktora kandydata Stanowskiego.

– Dosłowne jaja to ma większość facetów, ale nic z tego nie wynika. Cenne są tylko jaja Fabergé i te nieoczywiste, które czynią kimś bez względu na płeć.

– O to się z tobą nie pokłócę. Nawet w sprawie bezcelowości dosłownych jaj, choć pamiętam inne czasy w moim życiu… Wracając do twoich: poza jajami przydaje się też retoryczna przebiegłość. Jak wtedy, kiedy mówisz, że Rosja nie zaatakuje Polski, bo jesteśmy krajem NATO – co kontrolnie chroni cię przez sugestiami, że jesteś prorosyjska… W ogóle miałaś dobrą passę. Ale to pewnie sama wiesz…

– Głównie z memów. Jeden mnie zachwycił do tego stopnia, że go zacytuję. Autor: Zbychu Grabowski, na obrazku Katy Perry. Tekst: „Katarzyna Perry zwana Katy Perry dziś odbyła kilkunastominutowy lot w kosmos. Po wszystkim powiedziała: To było niesamowite przeżycie. Cieszę się, że mogłam spojrzeć na naszą planetę z dystansu, który mogłabym porównać tylko do dystansu, który ma do siebie Joanna Senyszyn. To jest kobieta nie z tej ziemi. Nie mogę się doczekać jej kolejnego występu na debacie. Staramy się z mężem o kolejne dziecko. Już postanowiłam – jeśli będzie córka, to Joanna. A jeśli syn – to Senyszyn”…

– Dobre imię dla chłopca, nowoczesne. Prawie jak Tradycja dla dziewczynki. Tylko jak to zdrabniać? Senuś? Szynek? Nyszek?

– Widzisz, ile możliwości?

– Natomiast pod jednym względem jesteś, uważam, wyobcowana z kolektywu kandydackiego. Zwróciłam na to uwagę, jak Szymon Hołownia przekazał swój czas Krzysztofowi Stanowskiemu, tłumacząc: „Łączy nas to, że mamy wykształcenie średnie. Frakcja kandydatów z wykształceniem średnim pogoni frakcję doktorów – Nawrocki, Trzaskowski, Mentzen!”…

– Może profesora oszczędzą, bo nie mam siły biegać.

– Ja ich osobiście rozumiem – Hołownię i Stanowskiego – bo jak się człowiek zajmuje dziennikarstwem na studiach i płacą mu za pisanie, to potem nie ma już głowy, żeby pisać za darmo pracą magisterską. Wiem coś o tym. I na koniec: ubawił mnie do łez doradca Mentzena do spraw wojskowości, niejaki Jacek Hoga, na którego obecnie Tefałen urządził sobie polowanie. Z zasady uważam, że takie polowania są bez sensu – te elitarne, wielkomiejskie oburzenia w ogóle nie trafiają do prawackich wyborców, o czym najlepiej przekonał się sztab Hillary Clinton po ujawnieniu taśm Trumpa o łapaniu za cipę… Ale ten cały Hoga jest tak rozkosznie żałosny, że robię wyjątek: „Jeżeli jest otwartość na życie, to żona jest w domu, jeżeli żona jest w domu, to zależy finansowo od męża, jeżeli zależy finansowo od męża, to pokornieje”… Powiedz mi, jak to jest możliwe, że facet ma jedenaścioro dzieci i nadal pozostaje wcieleniem incela?

– Co oznacza – wyjaśnijmy niezorientowanym we współczesnych popkulturach – „involuntary celibate”; chodzi o mizoginiczną subkulturę mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet, bo żadna nie chce iść z nimi do łóżka.

– Podłość babska nie ma granic…

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl f544429224